Egzemplarz obowiązkowy
LUBLIN
czyt. 2552/1977/19

W NUMERZE

CZY WIT STWOSZ RZEŹBIŁ TAKŻE GÓRY?
Adam Chowański str. 8

Lekcja miłości
Henryk Makarski str. 11–12

POEZJA ZACHODNIO-NIEMIECKA
w tłumaczeniu Bożeny Kowalowej
str. 6

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 18 IX 1977 Nr 19 (635) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

Polski Ikaros nad Europą

Tadeusz Jasiński

TO było wprost szukanie guza. Miałem ogólne zamiłowanie do sportu i niewytłumaczalny pociąg do wszystkiego, co groziło niebezpieczeństwem, co było pewnego rodzaju hazardem. Rodzice posiadali na Ukrainie majątek i tam się urodziłem w 1887 r. — mówi Michał Scipio del Campo, człowiek, którego dziewięćdziesiąta pierwsza rocznica urodzin przypadnie za cztery miesiące, a w roku przyszłym minie nadto 460 lat przybycia jego rodziny do Polski wraz z królową Boną. Pan Michał jest człowiekiem wysportowanym, o niezwykłym zdrowiu, które pozwala na prowadzenie samochodu, na polowania, zagraniczne podróże. Wracamy do rozpoczętego wątku: — Mój pierwszy kontakt z powietrzem odbywał się w sposób dość niezwykły. Niedaleko rodzinnej miejscowości stał duży wiatrak. Z niecierpliwością wyczekiwałem dni o silnym wietrze. Miałem jedenaście lat. Człowiek chwytał się obrzeża skrzydła tego wiatraka i razem z nim wirował dookoła. Dwadzieścia metrów w górę i opad w dół, w górę i ku ziemi. Czasem tego rodzaju wyczyny kończyły się potłuczeniem, w domu natomiast — przeważnie staniem w kącie. Ale nie było na mnie rady. Chęć unoszenia się w powietrzu okazała się silną potrzebą. Wszystko, co wtedy było nowością, było mi dostępne, ale ani łyżwy, ani rower, motocykl czy samochód nie dawały tak mocnego odczucia, jak fruwanie.

Próbuję prześledzić młodzieńcze i dorosłe lata mojego rozmówcy, pioniera pilotażu w Polsce; taś-

Dokończenie na str. 9

MIĘDZY WISŁĄ A BUGIEM (II)

WRZESIEŃ 1939

Zygmunt Mańkowski

JESZCZE nie minął pierwszy tydzień wojny, gdy cały obszar Lubelszczyzny został zagrożony i to aż z trzech kierunków. Od zachodu, po rozbiciu i próbie otoczenia Armii „Prusy", na całym odcinku środkowej Wisły parły pancerne wozy 10 Armii. Od północy, mimo ciężkich walk osłonowych Armii „Modlin", na Podlasie wdzierać się poczęły jednostki 8 niemieckiej Armii. Od południa nacierająca na wschód XIV Armia zdołała przepołowić siły Armii „Kraków" i idąc ukosem nagle zagroziła Zamojszczyźnie. Spychane i częściowo rozbite jednostki WP poczęły wchodzić na Lubelszczyznę za tworzącą się nową linię obronną: San—Wisła—Wieprz. 6 września niemieckie dowództwo wojsk lądowych uświadomiło sobie, że w rejonie Lublina tworzy się nowe polskie zgrupowanie, które może osiągnąć siłę 7—10 dywizji i w związku z tym wydało szereg nowych dyrektyw. Nakazywały one nie tylko przyśpieszenie uderzeń na wszystkich kierunkach, ale przy pomocy pancernych klinów od północy (po obu stronach Bugu) oraz od południowego zachodu (z Podkarpacia na Jarosław—Zamość—Chełm) otoczenie całego obszaru między Wisłą a Bugiem szczelnym pierścieniem.

Sytuacja stawała się groźna. Najważniejszym zadaniem teraz stała się obrona linii Wisły. Od tego zależało bowiem wszystko. Zadanie to powierzono utworzonej rozkazem Naczelnego Wodza z 4 września Armii „Lublin". W jej skład weszły: Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa (poc dow. płk Stefana Roweckiego), mostowa grupa saperska z Puław oraz znajdująca się w stanie mobilizacji 39 rezerwowa dywizja piechoty. Było to szalenie mało. Armia miała przyjąć obronę aż 150 km, płytkiej w tym miesiącu, Wisły dysponując zaledwie 10 tys. żołnierzy, 18 działami i 44 działkami... Do skutecznego przeciwstawienia się nacierającemu przeciwnikowi należało dysponować co najmniej 6—8 dobrze wyposażonymi dywizjami! 9 września dowódca Armii „Lublin" gen. Piskor zameldował Wodzowi Naczelnemu: *Obsady Wisły nie ma, są tylko*

Dokończenie na str. 4—5

sopot FESTIWAL INTERWIZJI

Helena Vondrackova

Fot. L. Szmaglik

Na str. 7 Istvan Grabowski o festiwalu sopockim w nowym kształcie

z notatnika

1 IX. Czwartek. 38 lat temu dzień 1 września wypadł w piątek, ale do Chełma prawdziwa wojna — pierwsze bombardowanie — dotarła 8 września. Przedtem zaś była radosna niedziela, 3 września, kiedy to Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Rychło miało się okazać, że nadziei nie było nawet za trzy grosze.

Dziś sięgam do książki Ojca — „W kręgu «Kameny»" przeglądam rozdział, w którym wspomina On o przeżyciach z września 1939 r. Redakcja „Kameny" przedwojennej mieściła się w drewnianym domku przy ul. Reformackiej 43. Redakcja to zbyt szumnie powiedziane: pokoik był jednocześnie gabinetem pracy Ojca i stanowił składową część naszego mieszkania. Domek stoi zresztą do dzisiaj, zmieniła się tylko nazwa ulicy i bodaj numeracja poszczególnych posesji. Niewiele mu już dni pozostało, jako że postępująca urbanizacja rozpycha się łokciami, czemu dziwić się nie należy. Dopominanie się o pozostawienie domku i stworzenie w nim muzeum „Kameny" może by i sens jakiś miało, zwłaszcza że kilkadziesiąt metrów dalej powstaje hotel o nazwie „Kamena", ale do tego projektu trzeba by zapalić miejscowe władze, od których wyjść powinna inicjatywa. Osobiście najbardziej szkoda mi położonego obok ogrodu, który najpewniej zostanie zrównany z ziemią.

W tym pamiętnym wrześniu właśnie redakcja „Kameny" stanowiła swoisty hotel. Adres znali literaci z całej Polski, którzy teraz tłumnie uciekali na wschód i południe. Bodaj pierwszy zawitał na Reformacką Jerzy Kamil Wentraub. Trafił 8 września, w dniu pierwszego bombardowania miasta. Ojciec tak wspomina te chwile:

Jakaś taksówka zatrzymuje się pod domem. Wysiada czarnowłosy dryblas z miniaturową kobietą. Jerzy Kamil z żoną. Pierwsza jaskółka tej falangi literackiej, która w owych dniach wrześniowych przewinie się przez Chełm z oparciem o redakcję „Kameny". Wentrauba pożegnałem tak niedawno przed księgarnią Gebethnera w Zakopanem, gdzie robiłem zakupy na ostatnią wycieczkę. Rozmawialiśmy wtedy w pośpiechu. Iwaszkiewicz stał z nami i opowiadał, jak oprowadza teraz swoje pannice-córki po górach. I nagle ni stąd, ni zowąd wyrósł mi Kamil w Chełmie, przed okalającym ganek ogródkiem. Takie się to wydawało dziwne.

— Ależ tu u was sielanka! — trąbił ściskając rękę. — Zupełnie wojny nie czuć. Te kwiaty. Ta cisza. A w Warszawie piekło. Nie byliśmy zdecydowani, gdzie ukryć się będzie bezpieczniej — u was czy u Tanka, który mnie zapraszał. Sielanka!

No i była sielanka. Zaproponowałem mu przechadzkę po mieście. I nalot, pierwszy nalot na Chełm zastał nas z dala od domu i naszego schronu. Syrena spóźniła się oczywiście i alarmowała, gdy już padły pierwsze bomby. Kamil wpadł do jakiejś bramy. Ja położyłem się na chodniku przy rynsztoku. Jak wojna, to wojna! Ogłuszające huki wstrząsały powietrzem, samoloty opuszczały się bezczelnie nisko i waliły w dworzec, w dyrekcję kolejową. Emocja pierwszorzędna. Przecież nigdy dotąd takiego koncertu nie słyszałem.

— No i jak wam się podoba sielanka chełmska? — pytam Wentrauba, gdyśmy po nalocie wracali do domu.

— Do diabła! W małym mieście to straszniejsze niż w Warszawie.

W wydanym w 1939 r. zbiorku poetyckim Jerzego Kamila Wentrauba pt. „Wrogi czas" jest utwór „Dwie elegie". Pisał „czarnowłosy dryblas":

Życie, słowa bezbronne, więdnące zdarzenia,
zbliżenia, oddalenia kochających dłoni.
Szumna przeszłość narasta, sen zmierzchami dzwoni,
a marzące spojrzenia przyszłość rozpłomienią.

W oknach błękit rozpięty i ciche jutrzenki
w szelest liści zaklęty i oddech przestrzeni.
Ale mija południe, pełzną smugi cieni,
dźwięczna przyszłość umiera, jak pożegnań dźwięki.
I jest spokój, co gwiazdą u czół bladych świeci,
pogodna melancholia, czułych spojrzeń zmierzchy,
I patrzą poza siebie w szlak dni, które przeszły.
I dumnie umierają samotni poeci.

Jerzy Kamil Wentraub nie doczekał końca wojny. Podzielił tragiczny los wielu innych twórców kultury...

Za Wentraubem zjawili się w Chełmie inni. Zapamiętałem Tadeusza Hollendra, Stanisława Wasylewskiego z żoną, sypiających koło mnie na ciasnej kozetce, Adama Polewkę, ale chyba najbardziej Jalu Kurka, który pożyczał ode mnie popularne broszurki w rodzaju „Buffallo Bill", „Harry Dickson" czy „Lord Lister", twierdząc, że ta lektura najbardziej uspokaja. Mam też przed oczyma moment, gdy do drzwi zapukała Wanda Wasilewska, chcąc zobaczyć się z Ojcem, pamiętam także reakcję zebranych literatów na wieść o śmierci Józefa Czechowicza w trakcie bombardowania Lublina.

Gdyby tak wówczas człowiek miał magnetofon, gdyby mógł utrwalić te długie rodaków rozmowy, rozmyślania o przeszłości, przewidywanie przyszłości, która okazała się czarniejsza od najbardziej pesymistycznych prognoz...

2 IX. W „Kierunkach" znajduję interesujący artykuł Tadeusza Pióra pt. „Umrzeć za ojczyznę". Autor próbuje wyliczyć, ilu Polaków ginęło w czasie wojen. Nie jest to zadanie łatwe, straty z wojen wcześniejszego okresu, do XVIII wieku, są praktycznie nie do odtworzenia. Pod Cecorą (1620 r.) np. miało według jednych źródeł zginąć 800 polskich żołnierzy, według zaś innych — 10 000. Porównanie to nie wymaga komentarzy. *Ocena* — pisze Pióro — *polskich strat wojennych od 1797 r. do „bitwy narodów" pod Lipskiem jest o tyle trudna, że wszystkie prawie źródła niepolskie podają liczby poległych w bitwach stoczonych przez Napoleona, bez podziału na poszczególne narodowości. Polscy autorzy „Zarysu dziejów wojskowości polskiej do roku 1864" (wyd. 1966 r.) obliczają, że w samej tylko kampanii 1812 r. poległo 70 tys. Polaków. B. C. Urlanis* (radziecki demograf i statystyk) *natomiast szacuje całość strat polskich za lata 1801—1815 na 50 tys. zabitych i zmarłych z ran.*

Pióro dochodzi do uogólnień opierając się na procentowym stosunku liczebności francuskich i polskich sił w tym okresie. Straty Wielkiej Armii są szacowane na 1—1.5 mln. Na tej podstawie można obliczyć, że straty polskie (10 proc. składu Wielkiej Armii) mogą się wahać w granicach 100—150 tys.

Po okresie napoleońskim największe ofiary ponieśliśmy w latach 1830—1831 i 1863—1864. Według przeprowadzonych szacunków liczbę zabitych i zmarłych w walkach zbrojnych od 1815 do 1914 r. ocenić można, w dużym rzecz jasna przybliżeniu, na 35—40 tys. W pierwszej wojnie światowej straty bojowe Polaków wyniosły ponad 500 tys. zabitych i zmarłych. W drugiej wojnie światowej 6 mln 28 tys... Był to skutek nie tyle bezpośrednich działań wojennych, co bestialstw hitlerowskich.

4 IX. Hitler... Tygodnik „Der Spiegel" wskazuje na katastrofalny wprost stan wiedzy młodzieży zachodniej na ten temat. Oto fragmenty wypracowań uczniów:

Uczennica, 14 lat: *Był fuehrerem Republiki Federalnej Niemiec.*

Uczeń, 13 lat: *Tych, którzy mu się przeciwstawiali, nazywał nazistami. Nazistów wysyłał do komór gazowych.*

Uczeń, 15 lat: *Jego zastępcą był Bismarck...*

Uczeń, 15 lat: *Hitler chciał, żeby państwo było czyste, pokojowe, wolne od przestępców. Był jedynym dotychczas fuehrerem, bądź kanclerzem, który kierował państwem czysto, sprawiedliwie i przynajmniej w sposób socjalny. Za władzy Hitlera nie trzeba się było obawiać jak dziś, że kiedy się przyjdzie do domu, to dziecko jest uduszone albo matka zgwałcona, jak to się, niestety, często zdarza.*

Uczeń, 16 lat: *Jedyna dobra rzecz, jaką zrobił Hitler, to likwidacja wszystkich komunistów. Za jego czasów nie było zamachów bombowych, nie było też takiej sytuacji, jak dziś.*

Uczeń, 17 lat: *Hitler kazał zamordować przeszło 50 000 Żydów.*

Uczeń, 14 lat: *Kiedy Hitler walczył z Polską, armia niemiecka zwyciężyła z wielką przewagą. Powód: Polacy myśleli, że niemieckie czołgi są z tektury.*

Uczeń, 14 lat: *Czy osiągnięcia Hitlera nie były ważne? Czy nie sprawdził się on na wojnie jako dobry wódz? Co prawda walczył nie karabinem, ale głową, i dzięki temu pobił wszystkich.*

Uczeń, 15 lat: *Postawił Niemcy na nogi po II wojnie światowej. Później był tylko zwyczajnym obywatelem. Zmarł gdzieś w latach 1950—1956.*

Uczennica, 15 lat: *Adolf Hitler kazał podzielić państwo niemieckie. Tak powstała NRD i RFN.*

Śmiać się, czy płakać? Wszystko jest zbyt ponure, aby można to traktować na wesoło. Tym, którzy kierują oświatą w RFN, publikacja „Spiegla" powinna dać wiele do myślenia. Ale i nam również...

6 IX. Czwarta rocznica śmierci Ojca. Jak ten czas leci... Czytam wstrząsającą książkę Kazimierza Moczarskiego pt. „Rozmowy z katem" — rzecz o Stroopie, „zasłużonym" szczególnie w czasie likwidacji getta warszawskiego. Nie ma co streszczać tej lektury. Przynajmniej ja się tego nie podejmuję.

7 IX. Nieco na inny temat. „Kulisy" drukują rozmowę z trenerem Kazimierzem Górskim. Co sądzi on o swoim następcy na stołku selekcjonera i o nowych piłkarzach w kadrze Gmocha i o szansach Polski w eliminacjach Mundialu'78?

Nie przypuszczam, żeby wydarzyła się jakaś katastrofa, porażki z Danią i Portugalią w Chorzowie. Tak, drużyna Gmocha awansuje do finałów i pojedzie do Argentyny, właściwie jestem tego pewien. A co dalej? Znam wszystkich piłkarzy, którzy teraz grają w reprezentacji. Dlaczego nie grali za moich czasów? Wtedy nie nadawali się, byli zbyt słabi. Zresztą i dziś mam poważne wątpliwości, że z taką obroną, jak aktualna reprezentacja Polski, można coś wygrać. Ale to nie moja sprawa. Jacek Gmoch jest zupełnie innym trenerem, ma inne metody. Ci piłkarze, których ja nie widziałem w kadrze, jemu na przykład odpowiadają...

Telewizja transmituje z Wołgogradu mecz ZSRR-Polska. Mecz towarzyski, więc mniejsza emocja, ale chciałoby się, by nasi piłkarze wygrali, ale przynajmniej zaprezentowali się godnie. Marzenia są dalekie od rzeczywistości. Gramy może ciut, ciut lepiej niż z Austrią, cóż jednak z tego, kiedy przegrywamy z jeszcze gorszym stosunkiem bramek. Jest 4:1 dla gospodarzy. Nasza obrona przypomina podartą sieć, a atak gra tak niemrawo, tak nieskutecznie, że nic dziwnego, iż Gmoch stoi roztrzęsiony i nerwowo ćmi papierosa. Tak przynajmniej ukazał go operator telewizyjny. Smutny to był obrazek.

Przed nami najważniejsze w sezonie mecze — z Danią i Portugalią. Dobrze, że będziemy walczyć na własnym boisku. Przyjedzie zapewne Lubański, może to wprowadzi inny nastrój. Ale mistrzostwa świata toczyły się bez Lubańskiego, a mimo to udało nam się zdobyć niebagatelny medal. Co się stało z Szarmachem? Co z dawną formą Kasperczaka? Czy Lato też już idzie ku jesieni? Czy Tomaszewskiego należy umieścić wyłącznie w historii polskiego piłkarstwa? Nie znam się na tym, jestem zwykłym kibicem i to telewizyjnym, bo na mecze Motoru i Avii też nie chodzę. Szkoda mi czasu i nerwów. Ale ostatecznie sukcesy czy niepowodzenia lubelsko-świdnickich drużyn ani mnie ziębią, ani grzeją, wątpię, czy się kiedykolwiek doczekamy I ligi piłkarskiej w naszym mieście, bo jeśli nawet, to nasza drużyna byłaby chłopcem do bicia. A wiadomo, że chłopiec do bicia ma zwykle pustą kieszeń, amatorów więc na tę posadkę raczej nie ma i nie będzie. Co innego jest jednak z reprezentacją kraju. Czyżby Górski niepotrzebnie narobił nam apetytu? Czyżby nasi byli rzeczywiście gwiazdą jednego sezonu?

W każdym razie wiem jedno: nie zazdroszczę Jackowi Gmochowi. Choć go na razie i nie obwiniam. Jeszcze poczekajmy, bo krytykować najłatwiej.

8 IX. Wojewódzki Ośrodek Kształcenia Ideologicznego w Lublinie organizuje seminarium poświęcone 100-leciu urodzin Feliksa Dzierżyńskiego. Wśród referatów dwa szczególnie interesujące: doc. dr Zygmunta Mańkowskiego — O roli Feliksa Dzierżyńskiego w rozwoju polskiego ruchu robotniczego i doc. dr. Albina Koprukowniaka — O związkach Feliksa Dzierżyńskiego z Lubelszczyzną. Sądzę, że warto zaproponować doc. dr. Koprukowniakowi, aby na ten temat napisał w „Kamenie".

Tymczasem w „Perspektywach" Jan Sobczak z różnych stron charakteryzuje tego wybitnego rewolucjonistę. *Był wrażliwy* — stwierdza — *na przejawy piękna. Wymowne są pod tym względem zachowane w jego listach subtelne opisy bajecznej przyrody Capri, roślinności Morza Śródziemnego, posągowości Alp, malowniczego uroku polskich Tatr, zasypanego „na bielusieńko" Zakopanego. Lubił muzykę, chętnie uczęszczał na koncerty. Sam grywał mazurki Chopina. [...] W gronie najbliższych gorąco dyskutował na tematy literackie. Nie lubił wprawdzie twórczości Żeromskiego, ale najbliższym przyjaciołom odkrył Wyspiańskiego. [...]. Próbował pisywać wiersze. Choć nie był z nich zadowolony i niechętnie je komukolwiek pokazywał te nieliczne, które się zachowały, ujawniają zręczność, przygotowanie i kult poezji romantycznej...*

11 IX. Telewizja transmituje przebieg uroczystości dożynkowych w Lesznie z udziałem najwyższych władz partyjnych i państwowych.

Po kilku dniach wrześniowych, naprawdę bardzo ciepłych znów chłód. Dosłownie marznę w mieszkaniu.

Czy nie lepiej było ów niewykorzystany tegoroczny urlop wziąć w normalnej zimie? Jakże mały jest jednak mój kłopot w porównaniu z kłopotami tegorocznego rolnictwa!

Niemniej w następnym numerze mego notatnika nie będzie. Odpoczną i czytelnicy.

MAJ

Komunikat Lubelskiego Oddziału ZLP

Na podstawie porozumienia między Lubelskim Oddziałem Związku Literatów Polskich a Wydziałem Kultury i Sztuki Urzędów Wojewódzkich oraz Wojewódzkimi Radami Związków Zawodowych w Lublinie, Zamościu, Chełmie i Białej Podlaskiej — każdego roku przyznawane są Nagrody Literackie im. Józefa Czechowicza w dziedzinie poezji i im. Bolesława Prusa w dziedzinie prozy.

Obydwie nagrody przyznaje się za książki wydane w roku poprzednim — autorom zamieszkałym na terenie wymienionych województw oraz autorom spoza tego terenu — jeśli książka jest tematycznie związana z makroregionem środkowowschodnim.

Książkę poetycką może stanowić zbiór utworów lirycznych, satyr lub poemat; książkę prozatorską powieść, tom nowel, opowiadań, eseje, wspomnień i reportaży o walorach literackich.

Dzieła spełniające te warunki prosimy przysyłać pod adresem: Lubelski Oddział Związku Literatów Polskich, 20-810 Lublin, ul. Graniczna 9 — do końca września br.

O wysokości i podziale nagród zadecyduje Jury tegorocznej edycji konkursu.

IMPRESJE Z KRAJU RAD (III)

Trudna lecz wielka sprawa

Ireneusz J. Kamiński

DZIENNIE „Ermitaż" zwiedza 25 tysięcy osób z różnych krajów świata, w wysokich salach muzeum tłok panuje więc spory, kontemplowanie Rembrandta, Halsa, Tycjana czy Leonarda udaje się tylko ludziom wytrwałym, fanatycznie rozmiłowanym w sztuce, poza którą świata nie widzą. Na czele grup wycieczkowych kroczą przewodnicy, unoszący wysoko nad głową proporczyki o barwach narodowych danej ekskursji. Widzę Amerykanów, Francuzów, Niemców, Finów — jak zziajani zaliczają kolejną setkę obrazów, o których napisano dziesiątki i setki książek oraz artykułów. Czasami przystają, aby pstryknąć pamiątkowe zdjęcie w towarzystwie „Syna marnotrawnego", albo jakiejś świętej postaci z renesansowego obrazu, po czym lecą dalej. Tylko wycieczka polskich żurnalistów zamiast malowidłami, woli sycić oczy złotymi precjozami muzealnego skarbca. Panie mdleją z zachwytu na widok ciężkich bransolet i błyszczących diademów, a także filigranów.

W „Ermitażu" najliczniej przecież goszczą obywatele różnych republik radzieckich. Nie trudno zorientować się, że znaczna ich część przybyła tutaj ze wsi i małych miast, co po kilku dniach pobytu u naszych sąsiadów stwierdzam bez najmniejszego zdziwienia. O tej swoistej inwazji terenu na przybytki kultury wspominałem już w pierwszym odcinku relacji z Kraju Rad, obecnie, po wizycie w Ministerstwie Kultury Rosyjskiej Federacyjnej Republiki Radzieckiej w Moskwie, próbuję przedstawić źródła takiego stanu rzeczy, związane z polityką kulturalną. Korzystam przy tym z informacji przekazanych przez Lidię Daniłową, która kieruje ministerialnym departamentem pracy kulturalno-oświatowej. W sferze uwagi tej komórki znajdują się kluby oraz parki kultury i wypoczynku, muzea (poza tymi, które gromadzą dzieła sztuki) oraz ogrody zoologiczne, „bo są to muzea żywej przyrody" — komentuje z uśmiechem towarzyszka Daniłowa, odpowiadając na dziennikarskie zdziwienie. „Zresztą zooparków w całym kraju mamy tylko 27. Są też ruchome, objazdowe".

Najwięcej uwagi poświęca się obecnie kulturze na wsi. A trzeba wiedzieć, że jest to teren ogromny: w 1970 roku obejmował 700 000 jednostek administracyjnych (w tym nawet pojedyncze leśniczówki), w 1990 zmaleje do 250 000 drogą scalenia małych wsi w większe organizmy, wyposażone w możliwie pełną sieć wszelakich usług, także kulturalnych. O skali przeobrażeń mogą świadczyć takie liczby: jeśli w 1913 roku w całym imperium carskim istniało zaledwie 213 „chałupniczych" ośrodków kultury na prowincji, to 63 lata później było ich 134 000, z czego 114 000 na wsi. Powiedzmy jednak, że takie porównanie nie posiada zbyt dużej siły sugestii. Ostatecznie powszechny dostęp do wartości kulturalnych to podstawowa dyrektywa socjalizmu. Dodajmy więc, eksponując tym samym znaczenie, jakie przywiązuje się współcześnie do rozwoju kultury w ZSRR, że tylko w minionej pięciolatce zbudowano we wsiach ponad 7000 obiektów wiadomego użytku. Ten rozmach inwestycyjny utrzymuje się nadal, obejmując ponadto pełną modernizację starych placówek, nie dostosowanych do aktualnych potrzeb. Można przypuszczać, że jest ich jeszcze dość dużo.

Wiejskie ośrodki kultury — określane przez ministerstwo mianem klubów — posiadają sale teatralne, wykładowe i pomieszczenia na tańce, jako że młodzież radziecka lubi się bawić i ogląda się już za dyskotekami. W większych miejscowościach o funkcji powiatowej wznosi się całe kompleksy, obejmujące pałac kultury, bibliotekę, niewielkie muzeum, szkołę muzyczną oraz stadion sportowy. Do osad, które nie posiadają żadnej bazy kulturalnej, docierają tzw. autokluby, czyli autobusy wyposażone w projektor filmowy, magnetofony i tym podobny sprzęt audiowizualny. Taki samobieżny klub kultury posiada dyrektora, kinomechanika i kilkanaście osób personelu, w skład którego wchodzą również artyści: śpiewacy, aktorzy itp. Krążą oni po kilka miesięcy, ciągle na trasie, po północnych rejonach Związku Radzieckiego, po obszarach Azji Środkowej — niosąc kulturę do zapadłych wiosek i przysiółków, kulturę o treściach przede wszystkim wychowawczych.

Przy centrach rejonowych (powiatowych) organizuje się od pewnego czasu parki kultury i wypoczynku, w których poza estradą, boiskami sportowymi, kinem, stołówką lub kawiarnią przewiduje się również staw z rybkami, dostępny dla wędkarzy. Mniejsze parki zakłada się w kołchozach czy sowchozach. W tej dziedzinie działacze radzieccy szukali wzorów w Polsce, konkretnie w Chorzowie — nie mogąc się nachwalić urządzeń tamtejszego parku.

Pod pojęciem kultury rozumie się w Związku Radzieckim także godziwą rozrywkę, czy jeszcze inaczej mówiąc: każdą nie utylitarną formę spędzania czasu wolnego, którego organizacja staje się pierwszorzędnym problemem polityki społecznej, wcale nie łatwym do rozgryzienia. Wiele na przykład pozostało do zrobienia w technicznej sferze rozrywki, nadal brakuje urządzeń dla wesołych miasteczek, mimo że w ostatnich kilku latach uruchomiono wytwórnie odpowiedniego sprzętu. Stąd polskie czy czechosłowackie „karuzele" tak chętnie są widziane w miastach i wioskach radzieckich.

Nie udało mi się, niestety, obejrzeć jakiegoś wiejskiego klubu kultury. To, co wiem na ten temat, pochodzi z drugiej ręki. Na szczęście była to „ręka" dobrze poinformowana, całkowicie kompetentna (a na dodatek — kobieca). Donoszę zatem, że polityka kulturalna wyzwoliła w kołchozach i sowchozach szczególne ambicje. *We wsiach istnieje po prostu moda na kulturę, wartość strojów zespołów amatorskich, dla przykładu, przewyższa niejednokrotnie wartość kostiumów, jakimi dysponują placówki profesjonalne. Estońska kołchoz im. Kirowa posiada oddział kultury, zatrudniający 21 osób, oraz 56 kół zainteresowań. No tak, to jest duży kołchoz, jego posiadłości ciągną się 400 km wzdłuż Bałtyku* mówi L. Daniłowa. Sowchoz „Biała Dacza" pod Moskwą zafundował sobie imponujący dom kultury, który mieści bibliotekę z czytelnią, salę widowiskową ze sceną i wiele innych pomieszczeń. Działa tam zespół dramatyczny, orkiestra, młodzieżowy zespół pieśni i tańca, chór dziecięcy. Wśród stałych form pracy tego domu zwracają uwagę wieczory tradycji rodzin robotniczych (gromadzące całe familie, które snują opowieści na własny temat), a także wieczory przodowników pracy oraz uroczyste pasowania na robotnika. W „Białej Daczy" odbywają się ponadto imprezy bardziej konwencjonalne, jak na przykład spotkania z pisarzami, dyskusje na temat rewelującej książki. Sowchoz zatrudnia około 800 pracowników i specjalizuje się w hodowli świń.

Merytorycznie, opiekę nad niektórymi zespołami amatorskimi sowchozu sprawuje ludowa artystka ZSRR — Prokoszina. Tego rodzaju kontakty między znanymi profesjonalami a amatorami są w Związku Radzieckim na porządku dziennym. Warto też wiedzieć, że 570 teatrów zawodowych Kraju Rad często odwiedza wiejskie domy kultury, dając rocznie 86 000 spektakli, które ogląda 22 000 000 widzów. Równie szeroko upowszechnia się w środowisku wiejskim muzykę: 214 wyspecjalizowanych instytucji urządza tam w ciągu roku 155 500 koncertów dla 33 000 000 słuchaczy. Dodajmy, że na wsi radzieckiej istnieje 130 000 kin i działa ponad 8000 ludowych uniwersytetów kultury — 1 000 000 ludzi korzysta z zajęć przez nie prowadzonych. I jeszcze trzy liczby, które — jak sądzę — ostatecznie wyjaśniają wspomnianą inwazję terenu na wielkomiejskie placówki kultury: 800 000 amatorskich zespołów artystycznych na wsi, skupiających 15 000 000 osób dorosłych i 10 000 000 dzieci i młodzieży.

Nasuwa się przecież pytanie o źródła tak wielkiego zainteresowania amatorskim uprawianiem różnego rodzaju twórczości artystycznej. Odpowiednie środki finansowe — państwowe, związkowe, kołchozowe — przeznaczone na kulturę środowisk wiejskich, nie tłumaczą sprawy do końca. Przypuszczam, że szczególnie zachęcającym bodźcem jest także moralne premiowanie domorosłych twórców, choćby przez szerokie eksponowanie ich dorobku. Od 1975 roku trwa w Związku Radzieckim — poprzedzony specjalną uchwałą KC KPZR — festiwal zespołów amatorskich, w którym biorą udział miliony ludzi i tysiące organizacji. Finał tej wielkiej imprezy odbędzie się w październiku 1977 roku w Moskwie — w postaci koncertu dla członków Rady Najwyższej ZSRR, którzy przyjmą nową konstytucję państwa radzieckiego, szczególnie zresztą mocno, sądząc po jej projekcie, akcentującą problematykę kultury, w tym rozwój ruchu amatorskiego i ochronę zabytków. Ponadto, rokrocznie, na moskiewskiej wystawie osiągnięć narodów radzieckich prezentuje się 30 najlepszych zespołów amatorskich, nagradzanych medalami. Stołeczna telewizja zapisuje na taśmie magnetycznej wszystkie koncerty, odtwarzając je później w programie poświęconym klubom kultury i twórczości amatorskiej. 27 godzin w miesiącu obejmuje ów program!

Upowszechnianie kultury bez trudności — no nie, taka sytuacja jest nie do pomyślenia. Więc w Związku Radzieckim także mają kłopoty. Sieć placówek kultury — mówią — posiada jeszcze „za duże oczka", jest nierównomierna, sporo obiektów wymaga natychmiastowej modernizacji, a poza tym kadra...

Co prawda w ostatnich latach w każdej republice uruchomiono instytut kultury (lub jego filię), nacelowany na kształcenie owej kadry, oraz powołano 161 szkół zawodowych dla instruktorów ruchu amatorskiego, to jednak na bardziej uchwytne rezultaty trzeba jeszcze poczekać, a poza tym nie wszyscy z 8000 absolwentów tych instytucji, jacy rocznie otrzymują dyplomy, chcą pracować na wsi. Tak czy inaczej w dziedzinie doskonalenia kadr kultury robi się w Związku Radzieckim dużo. Od kilku lat działa na przykład w Moskwie centralny instytut kształcenia, który muszą zaliczyć wszyscy czołowi działacze administracji: od republikańskich wiceministrów kultury począwszy. Ponadto w miastach wojewódzkich uruchomiono kursy kwalifikacyjne dla pracowników resortu.

Teoretyczną refleksją nad modelami działalności kulturalnej — teoretyczną, lecz posiadającą wymierne skutki praktyczne — zajmuje się m. in. ministerialny Instytut Kultury RFRR w Moskwie, założony jeszcze przez Łunaczarskiego w 1927 roku. 132 pedagogów, filozofów, historyków, architektów, historyków sztuki, socjologów i przedstawicieli dziewiętnastu innych specjalności pracuje w niewielkim budyneczku z przełomu XVI i XVII wieku, publikując rocznie od 215 do 240 arkuszy rozpraw naukowych. Dotyczą one wielu różnych problemów, m. in. metodologii planowania i prognozowania w sferze kultury, zarządzania i organizacji, skuteczności działania kulturalnego na wsi, znaczenia twórczości ludowej w życiu społeczeństwa, muzealnictwa i ochrony zabytków, kultury w warunkach rewolucji naukowo-technicznej, doświadczeń budownictwa socjalistycznego w krajach naszego obozu, problemów czasu wolnego. Jest to zatem cały kompleks zagadnień o żywej aktualności.

Proszę zwrócić uwagę — mówi Jewgienij Stiepanowicz Wariczew, wicedyrektor placówki — *że ludzi w wieku emerytalnym mamy w Związku Radzieckim 46 milionów. Kobiety odchodzą na odpoczynek po ukończeniu 55 lat, mężczyźni — 60, są to zatem ludzie nadal sprawni fizycznie i intelektualnie, pragnący w taki czy inny sposób uczestniczyć w życiu publicznym czy towarzyskim. Musimy zatem rozwijać takie formy kultury, które usatysfakcjonują tę liczną grupę. Do niedawna w centrum polityki kulturalnej była młodzież, jej potrzeby i aspiracje, obecnie wyraźnie i konsekwentnie poszerzamy zakres swojej uwagi, przyciągając ludzi starszych.*

Jak wspomniałem, efekty prac naukowych instytutu wprowadzane są do praktyki, co warte jest szczególnej naszej uwagi. I tak na przykład po rocznym badaniu kwestii kompleksowych ośrodków kultury na wsi urządzono szereg konferencji z udziałem działaczy terenowych i dopiero po tych konfrontacjach teorii z myślą praktyczną zdecydowano się na publikację wyników przedsięwzięcia. Odpowiednią książkę wydrukowano w trzy miesiące, ponieważ jednak nakłady wydawnictw instytutu są niskie (1000 egz.), cały tekst trafił na łamy kilku gazet, tygodników i miesięczników centralnych, a ponadto na antenę radia i telewizji! Mało tego: rosyjskie i związkowe ministerstwa kultury zobowiązały pracowników resortu do przestudiowania wydawnictwa. To się nazywa kompleksowe i konsekwentne działanie.

Prace instytutu są także premiowane publicznie. Za skonstruowanie modelu parku kultury i wypoczynku dla małego miasta placówkę uhonorowano złotymi, srebrnymi i brązowymi medalami wszechzwiązkowej wystawy osiągnięć narodów radzieckich. Obecnie instytut opracowuje model takiego parku dla ośrodków liczących ponad 20 000 mieszkańców.

Chodzi nam o to, aby każdy człowiek aktywnie uczestniczył w życiu kulturalnym, aby sam kreował wartości. Jest to trudna, lecz wielka sprawa — kończy J. S. Wariczew.

P.S. W minionym roku „Ermitaż" zwiedziło 3 600 000 osób.

Moskwa. Kreml

Fot. Danuta Łomaczewska

PIERWSZE OCHRONKI W LUBLINIE

Jerzy Chojnacki

W 1815 r. powstało Lubelskie Towarzystwo Dobroczynności, zadaniem którego była niewielka akcja udzielania pomocy i opieki nad biednymi. Stan taki trwał do 1852 r., kiedy rządy nad gubernią objął Stanisław Mackiewicz. Nowy gubernator zapoznał się z ustawą Towarzystwa i przekonał się, że przewiduje ona szeroki zakres działalności, gdy tymczasem Towarzystwo ograniczało się do utrzymania w domu schronienia kilkunastu starców i wsparcia dla biednych.

W lipcu 1852 r. na zebraniu ogólnym Towarzystwa Mackiewicz został wybrany prezesem, dzięki czemu przyczynił się do powiększenia liczby stałych członków z 50 do 350. Następnie, po raz pierwszy w dziejach Towarzystwa, w Lublinie otoczono opieką sieroty, umieszczając je na własny koszt u osób prywatnych, ponieważ miasto nie posiadało zakładu dla sierot.

Pod kierunkiem Mackiewicza podjęto nowe uchwały, a mianowicie: o kweście wielkotygodniowej po domach, o loterii fantowej, o urządzaniu koncertów i balów, o udzielaniu wsparć, o pobieraniu składek od członków i wreszcie — rewizji rachunków Towarzystwa.

Wprowadzenie ich wpłynęło dodatnio na zwiększenie funduszów, które w 1852 r. wyniosły 6.297 rubli. W tymże roku rada gospodarcza Towarzystwa powołała nowy wydział ochrony, w skład którego weszli: naczelnik, członkowie, protektorka Róża Rembielińska i 20 opiekunek. Celem założenia ochrony było roztoczenie opieki nad dziećmi od 3 do 7 lat — tych rodziców i opiekunów, którzy pracowali cały dzień poza domem, pozostawiając dzieci bez dozoru i opieki.

Wydział ochrony w miarę posiadanych funduszów podjął zobowiązanie otwierania sal w najodleglejszych częściach miasta, tam gdzie zamieszkiwało najwięcej wyrobników. Fundusz wydziału składał się z ofiar jednorazowych, zapisów, testamentów i darowizn. Na utrzymanie dziecka każdego tygodnia rodzice i opiekunowie byli zobowiązani wpłacać po 10 gr. Opłata nie dotyczyła rodziców, którzy legitymowali się zupełnym ubóstwem.

W 1853 r. Róża Rembielińska przekazała kasie Towarzystwa listę ofiarodawców oraz 8 975 zł, czyli 1 335 rubli i 30 kopiejek. Dzięki temu otwarcie sali ochrony nastąpiło już 3 listopada 1853 r. przy ul. Krakowskie Przedmieście 167. Ochrona pomieściła 40 dzieci zaniedbanych i obdartych do tego stopnia, że pierwszą czynnością opiekunek było szycie ubranek i sukienek.

Działalność ochrony Rembielińskiej znacznie rozwinęła się w latach następnych dzięki funduszom Towarzystwa i dobrowolnym ofiarom. Młodzież opuszczająca ochronę otrzymywała specjalne zaświadczenia, które były podstawą do pracy w rzemiośle lub innym obranym zawodzie.

Otwarcie pierwszej ochrony zachęciło członków rady gospodarczej do zorganizowania podobnej na Czwartku, w domu Teodory Koporskiej, która zajmowała się wychowaniem 12 dzieci. Otworzyła ona swój dom na przytułek dla biednych wdów, sierot po rodzicach zmarłych na epidemię cholery, chorych matek z niemowlętami i kalek, przywiezionych z dalekich stron. Osoby te, z braku miejsc w szpitalu św. Jana Bożego u Braci Miłosiernych, umieściła we własnym domu. Aby zapewnić biednym miejsce pod dachem, na ich utrzymanie poświęciła cały dochód z domu, pola i młyna. Gdy środki jej okazały się niewystarczające, zwróciła się do różnych ludzi o pomoc i zaciągnęła u lichwiarzy pożyczkę w wysokości 135 rubli. Długów tych nie była już w stanie zwrócić.

W listopadzie 1855 r. Zygmunt Majewski (sąsiad Koporskiej) napisał list do Lubelskiego Towarzystwa Dobroczynności, w którym donosił, że Koporska w nieludzki sposób wykorzystuje dzieci przy najcięższych robotach w polu, ogrodzie, własnym gospodarstwie i przy inwentarzu. Dzieci otrzymywały nędzne pożywienie i przyspasabiane były do ciągłego żebractwa, z którego korzystała Koporska.

Skarga Majewskiego rozpatrzona została dopiero 11 lutego 1856 r., kiedy to wiceprezes LTD Łastowiecki zawiadomił prezydenta miasta Białobłockiego o oskarżeniu Koporskiej. Łastowiecki powołał się w liście na wypowiedź jednego z członków rady, że Koporska przyjęła zbyt wielką liczbę sierot i dzieci i nie jest w stanie wszystkim obowiązkom sprostać. Zajmuje się ona także handlem i pozostawia dzieci bez opieki. Dlatego należy w zakładzie przeprowadzić kontrolę.

10 marca 1856 r. członek rady Wesołowski przybył do Koporskiej na kontrolę i przekonał się osobiście o okropnej nędzy dzieci, które nie posiadały ubranek, pościeli i łóżek, a w dodatku były źle odżywione. Z szesnaściorga dzieci dwoje ciężko chorych leżało w barłogach, a jedno już zmarło. Na polecenie prezesa Mackiewicza Koporska otrzymała pozwolenie na przeprowadzenie kwesty podczas świąt, z zastrzeżeniem, że fundusz będzie mogła podjąć wtedy, gdy zakład odda pod opiekę Towarzystwa, które zobowiązało się spłacić częściowo zaciągnięte przez nią długi. Koporska po wyrażeniu zgody otrzymała 42 ruble na właściwe urządzenie pomieszczenia na ochronę.

14 kwietnia 1856 r. na nadzwyczajnym posiedzeniu wydziału ochrony postanowiono otworzyć ochronę na Czwartku i zwrócić na nią szczególną uwagę. Koporska została mianowana opiekunką, a liczbę dzieci i sierot zwiększono do dwudziestu. Miały one zapewnione bezpłatne pomieszczenie, ubranie i całodzienne wyżywienie.

W związku z pracami wokół nowej ochrony powołano II wydział, który w dniu 12 maja 1856 r. dokonał uroczystego otwarcia ochrony na Czwartku.

Ale już po dwóch miesiącach wydział zakomunikował, że zakład prowadzony przez Koporską zupełnie nie odpowiada przeznaczeniu i dzieci nie mogą nadal u niej przebywać. Niebawem rada gospodarcza zabroniła wypłacenia 36 rubli na wydatki ochrony, ponieważ Koporska podjęła na własne potrzeby 72 rub., przeznaczone na wyżywienie dzieci. Dlatego 7 maja 1856 r. naczelnik II wydziału, ks. pastor Jonschor i członkowie zamknęli ochronę Koporskiej, a 18 dziewcząt i chłopców oddano do własnego domu Towarzystwa po O'Conorach, w którym nową opiekunką została Ewa Dąbrowska.

Problem opieki nad dziećmi był jednym z głównych założeń Towarzystwa. I tak w 1855 r. rada gospodarcza wystosowała pismo do protektorki Towarzystwa, Anny Mackiewicz z Witanowskich, żony gubernatora, o zamiarze otwarcia przytułku dla sierot pozbawionych rodziców i wszelkiej opieki, w którym będą otrzymywać początkowe wychowanie. Anna Mackiewicz, znana z filantropii, otrzymała upoważnienie do zbierania dobrowolnych ofiar na fundusz otwarcia zakładu dla 12 sierot w gmachu szpitala św. Wincentego a'Paulo. Członkowie rady gospodarczej wierzyli, że inicjatywa ta znajdzie poparcie u mieszkańców Lublina. A czyż może co większą litość u nas wzbudzić — głosi cytat z posiedzenia rady — jak sierota bez żadnego sposobu utrzymania się, nie mogąca nawet drobnych swych rączęt po kawałek chleba wyciągnąć, nie mogąca potrzeb swych wyrazić, a nie mająca nikogo, kto by o niej pamiętał.

Zakład był bardzo potrzebny albowiem zdarzały się wypadki porzucenia niemowląt i dzieci, przywożonych w tym celu z odległych stron guberni. I tak rada opiekuńcza szpitala św. Józefa w Lublinie zawiadomiła Towarzystwo Dobroczynności, że w dniu 31 października 1853 r. pewien włościanin z gminy Kozłówka przywiózł do Lublina sierotę, Michała Liska, i porzucił go na ulicy.

WRZESIEŃ 1939

Dokończenie ze str. 1

luźne oddziały na przeprawach... Tymczasem 8 września niemieckie szpice 10 Armii doszły już do Wisły.

Ze wszystkich stron (od zachodu, północy, a także południa) na Lubelszczyznę spływać zaczęły ogromne ilości polskiego wojska, a także masy uciekinierów. Zapchane zostały wszystkie szosy. *Na tyłach panuje straszliwy nieporządek* — meldował Wodzowi Naczelnemu przybyły do Lublina dowódca Armii „Prusy", gen. Dąb-Biernacki — *Pełno uciekinierów cywilnych i wojskowych, którzy szerzą popłoch i zamieszanie. Szosa Garwolin-Lublin (nawet w nocy) nie do użytku wobec zatorów. Brak wszelkiej sprężystej akcji i władzy kierowniczej na tyłach, zwłaszcza w Lublinie.*

Wszystkie bowiem skupiska, drogi przerzutu, a szczególnie kolejnictwo lubelskie znalazło się pod stałym nękającym atakiem niemieckiego lotnictwa. Komunikaty niemieckie z triumfem podawały wyniki tych operacji. 8 września atakowano Łuków (zginęło tam 260 osób) 8 września Chełm (rejon dworca), 9 września ofiarą nalotów padły obiekty kolejowe na linii Dęblin—Lublin—Chełm, a także Lublin (płonęło śródmieście, zginęło wiele osób). 11 i 13 września zniszczono wytwórnię samolotów i lotnisko w Białej Podlaskiej, 13 ciężkie naloty skierowano na stacje kolejowe w Zamościu, Krasnymstawie i Chełmie... Drużyny kolejarskie, sanitarne i przeciwlotnicze, z narażeniem życia i niesłychanym poświęceniem naprawiały uszkodzenia, grzebały zabitych, ratowały rannych.

Podjęto ogromne wysiłki dla opanowania sytuacji. Pełniący funkcję komisarza cywilnego wojewoda lubelski usiłował powstrzymać przedwczesną ewakuację urzędów, policji i straży pożarnej, gdzie tylko się dało tworzono polowe szpitale, wypiekano chleb dla wojska, formowano ochotnicze patrole i drużyny ratownicze. Przybył również do Lublina Komisarz Cywilny przy Naczelnym Dowództwie WP min. Kostek-Biernacki. Beznadziejnie usiłował on uporządkować ruch kolumn uciekinierów z zachodu, wyznaczając im jako ośrodki osiedleńcze Zamojszczyznę! We wszystkich miastach poczęły też działać „policyjne zapory" wyłapujące rozproszonych żołnierzy, których odsyłano do tworzących się nowych zgrupowań. Największe z nich o charakterze „grupy armii" powstało w rejonie Lubartowa—Chełma pod dowództwem gen. Dąb-Biernackiego. Otrzymało ono później nazwę „Frontu Północnego". Jego zadaniem była obrona północnej flanki Lubelszczyzny („rygiel północny"). Na południu już 11 września pojawiły się pod dowództwem gen. Szylinga oddziały Armii „Kraków".

W nocy z 13 na 14 września wojska niemieckie poczęły forsować Wisłę. Nadwiślańskie wsie i osady znalazły się pod ogniem niemieckiej artylerii. Od bomb lotniczych płonęły Kurów, Józefów i Puławy. Rano tego dnia najgroźniejszy przyczółek powstał w rejonie Annopola. Gen. Rowecki natychmiast rzucił przeciwko nim swoją brygadę. *Uderzał 1 pułk strzelców konnych z czołgami wsparty dywizjonem artylerii* — pisał on w swoim dzienniku. — *Przez Księżomierz wzdłuż lasu Gościeradów poszło natarcie na miejscowości i cypel Gościeradów. Artyleria niemiecka... szybko nas uchwyciła i prażyła porządnie. Z zadowoleniem obserwowałem strzelców, którzy po raz pierwszy, doskonale jednak, znosili ten ogień. Było trochę rannych i zabitych, lecz w rezultacie Niemcy cofnęli się na Annopol, a zapadająca kompletna ciemność uniemożliwiła dalszą działalność.*

Następnego dnia oddziały polskie cofnęły się pod Kraśnik, gdzie miały wydać bitwę nacierającym Niemcom. W chwili jednak, gdy 8 pułk ułanów starł się z niemieckimi szpicami, nadszedł rozkaz od Naczelnego Wodza: Armia „Lublin" miała cofnąć się na Zamojszczyznę w rejon Frampola. Jeszcze przez chwilę rozważano desperackie zamknięcie się w „improwizowanych twierdzach — miastach" — Lublinie i Puławach, lecz wszystko to przekreślił rozwój sytuacji.

Jednostki niemieckie parły na prawie bezbronny Lublin. Po odejściu oddziałów Armii „Lublin" oraz ucieczce prezydenta, straży pożarnej i policji szybko uformował się tu Komitet Cywilno-Wojskowy, który postanowił bronić miasta bez względu na posiadane siły. W warunkach zupełnej improwizacji zdołano uformować dwa większe oddziały w sile batalionów, liczne grupy ochotników, drużyny pomocnicze itp. 16 września oddział zwiadowczy obrony miasta odparł pierwsze niemieckie patrole pod Konopnicą. 17 września Niemcy natarli frontalnie. Na zachodnim skraju miasta (rejon rogatek warszawskich, Bobolanum, okolice Rur i cmentarza) doszło do ciężkich krwawych walk. Niemcy cofnęli się, ale bombardowali miasto ogniem artyleryjskim i lotniczym. Wobec nikłych sił i beznadziejnej sytuacji załoga miasta wycofała się na Łęczną i 18 września Niemcy „triumfalnie" weszli do Lublina.

Sytuacja otaczanych przez nieprzyjaciela wojsk polskich stawała się coraz bardziej tragiczna. Na południu wojska niemieckie już 13 września zdołały uchwycić Uhnów, Tomaszów Lubelski i Zamość, 18 września padł Krasnystaw. Droga na południowy wschód została zamknięta. W zacieśniającym się kotle (jedynie na wysokości Chełma pozostał kontakt z ziemią wołyńską) znalazły się teraz oddziały Frontu Północnego oraz połączone w „Front Środkowy" armie „Lublin" i „Kraków".

Wszystkie one otrzymały dyrektywę przebijania się na południowy wschód (Rawa Ruska — Lwów — Rumunia). Przesuwające się polskie oddziały nieustannie naciskane były przez siły niemieckie. Wojska szły przez płonące lasy i osady. *Rozpaczliwy widok przedstawiały* — notował w swym dzienni-

Rada opiekuńcza postanowiła chłopca wysłać z powrotem i w tym celu nawiązała korespondencję z administracją dóbr w Kozłówce, która poinformowała radę, że w 1852 r. rodzice Michała zmarli na cholerę w Kozłówce, gdzie przez kilka tygodni byli zatrudnieni w cegielni. Administracja uważała, że nie miała potrzeby zajmować się wychowaniem sieroty. „Nieludzkie to postępowanie administracji dóbr hrabiów Zamojskich — pisze rada opiekuńcza — by sieroty po wyrobnikach zmarłych w ich dobrach były odwożone i wyrzucane w mieście Lublinie".

Rada opiekuńcza nie posiadała innych możliwości, jak po prostu przekazać Michała na wychowanie Towarzystwu Dobroczynności.

Dla nowego zakładu opracowano regulamin i powołano wydział sierot, w skład którego weszli: protektorka, nieograniczona ilość opiekunek, naczelnik wydziału i czterech członków. Sieroty przyjmowano od niemowlęcia do 7 lat. Dziecko mogło być przekazane nowemu opiekunowi pod warunkiem, że ten zapewni mu całkowite utrzymanie i wychowanie. Chłopcy byli oddawani do rzemiosła, a dziewczęta do lat 16 uczyły się zawodu kucharki, krawcowej itp. Protektorka Anna Mackiewicz otrzymała od namiestnika Królestwa, ks. Gorczakowa, 500 rubli. Natomiast Zofia Scisłowska, autorka „Powieści dla dzieci na tle miejscowych zdarzeń osnutych", przeznaczyła część honorarium za tę książkę na założenie zakładu sierot.

25 grudnia 1855 r. w klasztorze Panien Miłosierdzia i pod ich bezpośrednim dozorem dokonano otwarcia sali sierot dla 12 dzieci. Czynną opiekę nad zakładem sprawowała protektorka i opiekunki. Do ich zadań należało zdobycie funduszy na dalszy rozwój zakładu. Właśnie dzięki nim doszedł do skutku koncert pianisty Józefa Wieniawskiego w Lublinie.

W 1860 r. kapitał zakładu sierot wynosił 450 rubli i powiększony został w drodze dalszych ofiar i zapisów do 1 000 rubli. Anna Mackiewicz postanowiła przeznaczyć go na żelazny kapitał dla sierot, które po opuszczeniu zakładu otrzymywały pewne kwoty na dalsze urządzenie własnego życia.

Liczba dzieci w ochronie I przy ul. Krakowskie Przedmieście od 1853 do 1855 wynosiła 40 dzieci, a od 1856 do 1857 było ich 85. W latach 1858 i 1859 dzieci było 68, ale w 1860 tylko 41. W ochronie II na Czwartku w okresie 1856 do 1860 stan dzieci kształtował się w granicach od 20 do 31. Liczba ich wzrosła do 91 w latach 1858 i 1859. Natomiast w zakładzie sierot w latach 1855 do 1860 było stale 12 dzieci.

Krzysztof Zuchora

* * *

przychodzisz z drugiej strony wody
jak świt gdy zrzuca stare szaty

jak kwiat wsuplany w mroczną ziemię
jak blask ukryty w rdzeniu świecy

jeszcze się oddech w tobie burzy
jeszcze się wiosło z falą spiera

cień nigdy blasku nie poślubi
gdy dzień się budzi noc umiera

* * *

jakże niechętna
zdajesz mi się dzisiaj

jakże niepewnie
wiatr unosi słowa

a przecież pająk
równo przędzie nić swą

i gładko biegnie
marzeń naszych droga

ODCHODZĄCEJ

lgniemy ku sobie
jak ostrze i rana

zanim nas bandaż
świtu nie rozdzieli

odchodząc zabierz
zwiędły liść powietrza

i pustkę po nim
próżno się zieleni

Czechowicz z innej strony

PRZYZNAM się, że bez zainteresowania przeczytałem książkę Celeste Albaret „Pan Proust". Książka zawiera wspomnienia gospodyni i powierniczki pisarza, która spędziła wiele lat u jego boku, więc spodziewałem się odsłonięcia tzw. rąbka tajemnicy. Tymczasem rąbek został odsłonięty, ale wcale mi postaci Prousta nie uwypuklił. W ogóle nie wiem jak przyjmować szczegóły dotyczące osobistego życia i cech osobowości wybitnych pisarzy. Ciekawość rzuca się na nie z apetytem zgłodniałego kruka, ale po kilku dziobnięciach smak mówi, że nie czuje satysfakcji. Ze Leopardi miał podwójny garb, na skutek czego — jak pisze gdzieś Żeromski — „był brzemienny w tak złośliwe aforyzmy". Ze Björnson miał obsesje zaniku szaty roślinnej, więc idąc na przechadzkę za miasto rozrzucał nasiona drzew. Że d'Annunzio pod koniec życia ociemniał i pisał na specjalnie pociętych pasemkach papieru, by nie zamazywać własnego tekstu. Sensacyjki na pięć minut. Czy rzeczywiście rzucają jakieś światło na twórczość, na jej psychologiczne i charakterystyczne uwarunkowania? Jest ona dla każdego czytelnika przedmiotem intrygującym, dlatego nie ustanie podpatrywanie wielkich ludzi „en pantouffles" i sam się tego nie zarzekam, ale — jak wyżej — z przygotowaniem na mniejszy lub większy niedosyt.

Oczywiście nie robiłem wyjątku dla zapowiadanych, a niedawno wydanych „Listów" Józefa Czechowicza. Nie robiłem, ale ciekawość zrobiła swoje. Więc czekałem, a kiedy „Listy" wyszły, zawiesiłem wszelkie zastrzeżenia, by tym wierniej przystąpić do lektury. Czy tym razem nastąpił cud zmiany optyki? Cud nie nastąpił, ale sam fakt, że mamy jeszcze raz Czechowicza między nami, nie zostaje bez znaczenia.

Właściwie trudno wymagać, by „Listy" coś „odsłoniły". Cóż mają odsłonić? Czechowicza dzieło tak bez reszty wypełniło jego życie, że biografia niemal całkowicie pokrywa się z bibliografią. Więc jakich „smaczków" oczekiwać? Czechowicz wyznaje: „W tym, co napisałem, mieści się odpowiedź, dlaczego nie liczę na małą czy wielką liczbę czytelników. Nie interesuje mnie to. Ścigam pewien absolut. Choruję, aby dobrnąć do najczystszego tonu. To jest sprawa między Poezją a mną. I czy świadkowie są, czy ich nie ma — cóż mi do tego?"

A jednak coś odsłoniły. Dopiero z „Listów" w pełni wynika lubelskość Czechowicza. Lubelskość w znaczeniu geograficznym, nie psychologicznym. Przywykliśmy do określenia „poeta prowincji", więc koziołka i Bramę krakowską widzieliśmy w ekslibrisie tej poezji. Tymczasem do Lublina Czechowicz był przywiązany najzwyczajniejszą skłonnością serca i aż dziw, jak ten partner warszawskich Horzyców, Pomirowskich (nie szkodzi, że wyrażał się o nim z przekąsem) i Micińskich tęsknił do naszego miasta. Wyraźnie pisze, że jego Warszawa stała się pomyłką i gdyby tylko znalazł odpowiednie warunki pracy (i płacy) wróciłby tutaj. Ale czy nie jedna to z wielu mistyfikacji? W sporze z Karolem Wiktorem Zawodzińskim Czechowicz deklarował, że zamilknie na zawsze, po czy ukazał się tom „nic więcej". Bardzo dobrze, że poeta nie dotrzymał słowa. I chyba dobrze, że tych warunków w Lublinie nie znalazł. Zresztą ich nie szukał. Gdyby tak, z pewnością poezja polska stałaby się uboższa o niejeden świetny wiersz. Bo ten introweryk mimo wszystko potrzebował ruchliwych ludzi i w związku z nimi ujawniała się jego aktywność. Ciągłe pomysły, spotkania, inicjatywy wydawnicze, sekretarzowania, kolumny, arkusze, redakcje.

Czechowicz rubaszny? Wielkie nieba, chyba wszystko stanęło na głowie. A jednak. Wprawdzie istnieje jego zbiór fraszek na temat znanych osobistości lubelskich, istnieje książeczka „Nowości Lubelskie" zawierająca dowcipnie zmistyfikowany prospekt wydawniczy, ale można było sądzić że to marginalna robótka literacka, jakich sporo u każdego autora. Tymczasem „Listy" ukazują tę stronę charakteru Czechowicza wyrażającą się już bez umowności pisarskiej. Ile w nich dobrodusznych złośliwości pod adresem znajomych, ile słów jędrnych „w cztery oczy", chciałoby się powiedzieć — plotkarskich. Dopiero „Listy" mówią o Czechowiczu — bystrym obserwatorze i Czechowiczu — ciętym polemiście. Jego pryncypialność w sprawach artystycznych przeniesiona na grunt towarzyski przyniosła nieoczekiwane rezultaty satyryczne. Nasuwa się przykład drugiego „czystego" poety który nie stronił od polemiki: Juliana Przybosia. Ale o ile u Przybosia nerw ironiczny wyczerpywał się w szermowaniu (najczęściej obelżywymi) epitetami, Czechowicz ironizował bez żółci, a przede wszystkim z finezją, o którą mógłby zabiegać niejeden profesjonalny satyryk.

Wśród adresatów Gralewski, Bielski, Arnsztajnowa, Miernowski, Madej, Kurzątkowski Pieśniarowicz. Lublinacy przeważają. Tak więc „Listy" możemy nazywać książką lubelską nie tylko dzięki wydawnictwu, które je opublikowało. Każdy, komu życiorys na to pozwala, ma okazję wrócić pamięcią do czasów, kiedy na Kościuszki 8 drukowało się „Express Lubelski", w kawiarni Semadeniego jadło „napoleonki", a spacerowało po Krakowskim Przedmieściu. Krakowskie zostało, ale spróbujmy po nim spacerować.

Tak więc Czechowicz przyszedł do nas po raz który. Ma przyjść jeszcze — z dramatami. Wymyliśmy próg i czekamy.

Z.M.

P.S. Tadeuszowi Kłakowi, znawcy i skrupulatnemu badaczowi Czechowicza, redaktorowi „Listów" — chwała. I żadna możność z mojej strony równać się z nim wiedzą o Czechowiczu. Ale — dwa małe szczegóły.

W przedmowie (str. 14) jest mowa o liście Czechowicza do Konrada Bielskiego z dnia 31 XII 1923: „Dwudziestoletni autor pisze do młodszego o rok przyjaciela..." Bielski urodził się 11 I 1902, Czechowicz — 15 III 1902, więc pisze raczej do starszego.

W liście 155 — do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego mówi Czechowicz o niemożności — sfinalizowania powieści „Berle". Ten passus zaopatrzony jest przypisem. „Jaworski posłał Czechowiczowi tylko własny przekład utworu S. Corazziniego „Ogłoszenie", wydrukowany w »Miesięczniku Literatury i Sztuki«, nr 6". Jak skolacjonować przypis z tekstem? W tekście jest mowa o „Berle", nie o „Ogłoszeniu" i o tym czego Czechowicz nie przysłał, nie o tym, co przysłał Jaworski.

Oczywiście drobiazg, ale niech i felietoniście się zdaje że wniósł coś do „czechowiczologii".

ku gen. Rowecki — *w nocy z 15 na 16 września Janów Lubelski i Frampol. Obydwa silnie zbombardowane, doszczętnie spalone. Moc trupów ludzkich i końskich wszędzie porozrzucanych. Makabryczny widok, gdy mijaliśmy takie zniszczone i zmaltretowane miasteczka.* W tej sytuacji łatwe zadanie mieli niemieccy dywersanci i ukraińscy faszyści, atakujący znienacka zmęczonych i rozproszonych żołnierzy. Nie powstrzymali się oni i przed większymi akcjami. Gdy oddziały Armii „Kraków" dotarły do Biłgoraja, oczom ich ukazał się *straszny widok* — całe miasto płonęło. Podjęte natychmiast śledztwo ustaliło, że dokonali tego dywersanci kierowani przez miejscowego nadleśniczego, dowódcę straży obywatelskiej (!) Ryszarda Müllera. W jego mieszkaniu rewizja ujawniła radiostację nadawczo-odbiorczą i inne materiały szpiegowskie. Natychmiast go rozstrzelano.

16 września dowódca wojsk Frontu Środkowego podjął dramatyczną decyzję przebicia się przez niemieckie zapory w Tomaszowie Lubelskim. W dwu następnych dniach oddziały Frontu w ciężkich walkach dokonywały koncentracji. Na całym obszarze operacji doszło do starć, potyczek, a nawet bitew, w tym pod Krasnobrodem i Józefowem, Cieszanowem, Płazowem i Maziłami. Wobec braku benzyny niszczono zbędne tabory i sprzęt. *Piękne limuzyny i inne świetne wozy poszły na drzazgi.* 18 września rozpoczęła się wielka bitwa pod Tomaszowem Lubelskim. Taranem uderzyły w miasto pancerne wozy Warszawskiej Brygady. Zastały tu jednak okopane czołgi i zapory aż dwu korpusów niemieckich. Zawiodły też uderzenia flankowe. Ciężki i krwawy bój toczył się do późnych godzin nocnych.

W nocy z 18 na 19 września w sztabie gen. Piskora rozważono warianty wyjścia z sytuacji. Padały różne propozycje: wznowienia uderzenia na Tomaszów, obejście miasta (m. in. przez Narol), cofnięcie się na Warszawę lub wreszcie kapitulacja...

19 września rano, po opadnięciu mgieł, oddziały polskie wspierane artylerią ruszyły do nowego desperackiego szturmu na Tomaszów. Bitwa trwała przez cały dzień i objęła wiele sąsiednich miasteczek i wsi. Wieczorem dotarły wieści o opuszczeniu kraju przez rząd i Naczelne Dowództwo. Na wieczornej naradzie sztabowej *gen. Piskor długo nie mógł przemówić. Odwrócił się i było widać, jak wzruszenie wyciska mu łzy z oczu... Wreszcie stanął przed nami* — wspomina jeden z uczestników tej narady — *i nabrzmiałym głosem obwieścił, że dzisiejszej nocy będzie podjęta ostatnia próba przebicia się. Jeśli się nie uda, jesteśmy zwolnieni z obowiązków i możemy ratować się na własną rękę...* Ponowione natarcie załamało się 20 września około godziny 10 rano. Następnego dnia dowództwo niemieckie podało triumfalnie, że wzięło do niewoli ponad 20 tys. jeńców, w tym 2 generałów.

I wówczas na prawie spacyfikowany już teren nadeszły z północy (z rejonu Chełma-Rejowca) oddziały Frontu Północnego gen. Dąb-Biernackiego. Po nieudanych próbach odbicia Krasnegostawu i Zamościa skupiły się one na opanowaniu rejonów wyjściowych do natarcia na Tomaszów Lubelski, aby stąd przebić się na Lwów. W dniach 20—22 września najcięższe boje toczyły się pod Cześnikami, gdzie starły się 39 dywizja piechoty i 29 brygada piechoty z niemieckimi oddziałami 4 niemieckiej dywizji lekkiej (wspartej jednostkami 27 dyw. pancernej). Polskie dywizjony pplot. strzelały z *pierwszej linii ogniem bezpośrednim*, płonął pobliski Barchaczów, doszło do walk na bagnety. Próby przebicia się trwały do 27 września, obfitując w niezwykle dramatyczne epizody. Pod Tarnawatką dowódca I dywizji gen. Kowalski *w pierwszej linii ataku szukał świadomie śmierci*, pod Krasnobrodem z szaloną brawurą 25 pułk ułanów rozbił sztab 8 niemieckiej dywizji piechoty i wziął do niewoli 29 oficerów...

26 września wieczorem gen. Przedrzymirski podpisał umowę kapitulacyjną. Do niewoli dostało się 7 generałów, 500 oficerów i około 6 tys. żołnierzy. Przez bezdroża i lasy Roztocza przemykały się już tylko rozbite grupy ze świetnych dawniej jednostek. Największa z nich pod dowództwem płk. T. Zieleniewskiego w sile 4 niepełnych pułków piechoty, pułku kawalerii i batalionu saperów manewrując w niemieckim otoczeniu, toczyła walki w rejonie Polichny, a następnie uderzyła na Janów Lub., zamykając w gmachu miejscowego więzienia niemiecki dywizjon ppanc. Później zapadła w ostępach Lasów Janowskich, czekając na dalszy rozwój sytuacji.

W toku tych działań w tragicznych warunkach znalazła się ludność Zamojszczyzny. Przemarsze wojsk, bitwy i potyczki, heroizm polskiego żołnierza, przejawy rozprzężenia, płonące wsie, zbrodnie wkraczających wojsk niemieckich, rozrzucone po lasach i polach zwłoki żołnierzy, zniszczony sprzęt wojenny — wszystko to przerażało i budziło refleksje. *Każdy Polak na wsi był przerażony* — wspomina mieszkaniec hrubieszowskiej wsi — *jakby niespodziewany cios obuchem siekiery przyćmił każdemu umysł i zaradność. Ludzie nie mieli apetytu do jedzenia, ani nawet spać nie było można. Biedni żołnierze przebierali się na cywilów i uciekali, jak kto mógł i gdzie kto mógł, rzucając wozy, konie, broń maszynową, armaty — jednym słowem, co z ciężkim wysiłkiem całego społeczeństwa zostało zdobyte w przeciągu 20 lat... Tak więc zakończyła swój żywot Polska obszarniczo-biurokratyczna. W przeciągu 20 dni zostaliśmy bez Ojczyzny.* Wielu jednak natychmiast poczęło zbierać i chować porzuconą na polach bitwy broń.

Przy końcu września, gdy już w zasadzie wszędzie ucichły boje, nieoczekiwanie na Lubelszczyznę wkroczyło jeszcze jedno zwarte nienaruszone zgrupowanie wojska polskiego. Była nią Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie" dowodzona przez gen. Franciszka Kleeberga. 26 września przekroczyła ona Bug w okolicy Włodawy i pośpiesznym marszem szła na Warszawę. Zablokowana przez Niemców w rejonie Kocka, stoczyła 5 października swój ostatni bój. Główne walki rozegrały się pod Wolą Gułowską, Charlejowem, Adamowem i Hordzieżką. Krwawe walki toczyły się do późnych godzin wieczornych. O godzinie 19,30 wobec wyczerpania się amunicji i ogromnych strat gen. Kleeberg wydał swój ostatni rozkaz: *Wykazaliście hart i odwagę w czasie zwątpień i dochowaliście wierności Ojczyźnie do końca. Dalsza walka nie rokuje nadziei, a tylko rozleje krew żołnierską, która jeszcze przydać się może... Dziękuję Wam za Wasze męstwo i Waszą karność, wiem, że staniecie, gdy będziecie potrzebni.*

6 października oddziały polskie rozbroiły się. Do niewoli dostało się ponad 1200 oficerów i 15 tys. żołnierzy. Wielu jednak zbiegło, niosąc do chłopskich chat ostatnie posłanie swojego bohaterskiego generała.

Zygmunt Mańkowski

POEZJA ZACHODNIONIEMIECKA

Günter Eich

MIEJSCE GEOMETRYCZNE

Sprzedaliśmy nasz cień,
wisi na murze w Hiroszimie,
interes, o którym nie mieliśmy pojęcia,
zgarniamy teraz bezradnie odsetki.

Hej, przyjaciele, pijcie moją whisky,
nie znajdę już knajpy,
gdzie stoi moja flaszka
z własnoręcznym podpisem,
świadectwo mego czystego sumienia.

Klnę się na Boga,
nie odłożyłem z tego ani feniga,
ale prawnuki psów tresowanych przeciwko ludziom
widziałem na naddunajskich wzgórzach
i one patrzyły na mnie.

Wraz z mieszkańcami Hiroszimy
nie chcę już nigdy zobaczyć zwęglonej ludzkiej skóry

chcę tylko pić i śpiewać pieśni,
właśnie po whisky zwykle śpiewam,
i pragnę pogłaskać psy,
ich przodkowie
w kamieniołomach i za drutami
polowali na ludzi.

O mój cieniu,
na domu bankowym w Hiroszimie,
kiedyś
chciałbym cię odwiedzić wraz z wszystkimi psami
i chciałbym przepić do ciebie —
za pomyślność naszego konta.

Gdy ktoś zechce zrównać z ziemią muzeum,
przedtem
wślizgnę się do ciebie, mój cieniu,
skryję się
za ciebie,
za twój śmiech,
za nasze wołanie o pomoc,
i znowu będziemy pasować do siebie,
twój but do mojego,
punktualnie co do sekundy.

Karl Krolow

CZERWCOWE NIEBO

Błękitny, kubiczny dom —
niebo czerwcowe.

Róże i pył
pod jego baczną ochroną.

Południe —
omdlewająca w słodkim upale
cielesność.

Prawda Euklidesa —
napięcie między światłem
a zrenicą oka.

Powab cienia
wzrasta.

Staje się identyczny
z przytłumionym
słowem.

Ursula Krechel

PERSPEKTYWA

Motto: „Świat jest pełen niepokoju,
wszystko przewrócone do góry nogami,
a w dodatku nie wie się nic pewnego
(Odön von Horvath)

Na horyzoncie stoją
jacyś mocni ludzie,
zasłaniają nam słońce
i pokpiwają:
gdzie się podziała wasza perspektywa?

Odpowiadamy:
zależnie od tego,
gdzie się stanie,
widać na Polach Elizejskich:
damę z pieskiem,
trzewik z czerwonej skóry,
obcas trzewika
lub łajno na obcasie.
Zależnie od tego,
jak się patrzy,
można nawet zobaczyć
drzewa z oddali
i podziwiać
ich olbrzymie konary.
Gałąź kasztana
zabiła tu niegdyś poetę.

Mówimy:
zejdźcie nam ze słońca,
wtedy podyskutujemy
o naszej perspektywie.

Fritz Deppert

STOPA MIĘDZY DRZWI

My parający się piórem,
cóż możemy zaoferować
pomiędzy opisem katastrofy głodu
a meczem bokserskim o mistrzostwo świata?
Może teorię,
przeciwko której wypada wystąpić,
albo też inną,
której znowu wypada przyklasnąć.

Może inaczej —
może pożyteczniej
pomiędzy Kartaginą, Oświęcimiem
a terenami grożących okrucieństw
wykrzyknąć słowa
zdolne obudzić wspomnienia
napisać zdania
będące przestrogą —
niby kwiat mniszka pod kolczastym drutem.

Teraz piszemy
na bocznym torze
w chwili wytchnienia,
zanim dalej
bez nas i mimo nas
nie potoczy się światek,
ale przecież
mam nadzieję
wetknąć czasem jakieś zdanie
jakby stopę między drzwi!

Marie Luise Kaschnitz

SPIRALE

Pisujemy na wołowej skórze
o wiele więcej, niż może pomieścić.
Któż czytelnikiem będzie?
Pięć dolarów temu, kto jeszcze nasz język rozumie
Pięć dolarów za słuchanie wiersza.
Deszcz przysłuchuje się nam
i obojętna zorza wieczorna
To nam nie wystarcza.
Sierść zjeżyła się psu
drży, szczeka u brodu,
to nam nie wystarcza.
Marzyciel rzuca się z dachu
spada spiralami
róg Amona —
kamień nagrobny
to wystarczy.

NIEDOMÓWIENIA

Nie powiedziano wszystkiego,
co należy powiedzieć o słońcu,
dla błyskawicy zabrakło trafnego określenia
a cóż dopiero dla miłości.

Próby, usiłowania chybione,
niedokładne opisy.

Pominięto jutrzenkę,
brak też wzmianki o siewcy,
mimochodem wspomniano
o fiołkach i jaskrach.

Nie wyprostowano wam pleców
wizją wiecznej szczęśliwości,
nie wyparto się winy,
nie uniknięto zwątpienia.

Nie ma diabła w moim domu,
nie ma — bo w niego nie wierzę,
Bóg też nie został pochwalony,
kim ja właściwie jestem?

Tłumaczyła Bożena Kowalowa

OKO-LICE SZTU-KI

Aby nie zostać partołą

W WYWIADZIE dla „Tygodnika Kulturalnego" wiceminister kultury i sztuki, Jan Kaczmarek, wysoko ocenił działalność BWA w Białymstoku i Lublinie. Odnotowuję to nie bez osobistej satysfakcji, jako że niejednokrotnie przedstawiałem w „Kamenie" to, co robią obie instytucje. Nierzadko też broniłem je przed różnymi „podchodami", przedsiębranymi przez różne, powiedzmy, orientacje, grupy szczególnego myślenia o świecie, mylącego cele prywatne ze społecznymi. W rewanżu rozgłaszano, że to właśnie mną rządzi prywata, no bo jakie inne cele mogą przyświecać facetowi, który pisuje wstępy do katalogów wystaw urządzanych przez oba Biura, a nawet czasami wygłasza tam jakieś prelekcje. Dajmy jednak spokój tym wynurzeniom, nieciekawym bez wątpienia dla czytelnika.

A co poza tym w Białymstoku, o którego sprawach pisałem bodaj dwa lata temu? Z tamtejszego środowiska odszedł Aleksander Wels. Zmarł wczesną wiosną bieżącego roku, o czym dowiedziałem się dopiero teraz. Nie miał głośnego nazwiska, znany był przede wszystkim w mieście, w którym przeżył kilkadziesiąt lat, malując sentymentalne pejzaże z „oczkami" leśnych jezior, znajdujące licznych nabywców wśród lekarzy i prawników, a więc wśród ludzi praktycznych, posiadających dość wysoką pozycję społeczną, lecz nikłe raczej rozeznanie w tym, „co się teraz robi w sztuce". Oni właśnie decydują o prywatnym rynku plastycznym w Polsce, ceniąc sobie dzieła albo stare, albo w starych konwencjach utrzymane. Zatem lubili malarstwo Welsa. Co tu dużo mówić: ja także ciepłym wzrokiem spoglądałem na obrazy wiekowego artysty (urodzonego w 1902 roku w Warszawie), znajdując w nich coś rzadkiego w sztuce współczesnej, a mianowicie bezpretensjonalny, pokorny stosunek wobec natury. Wels malował szybko, na pewno za szybko — i płacił za to, i wysłuchiwał za to słowa krytyczne. Przejmował się nimi, owszem. I nadal robił tak, jak dotychczas.

Przez dziesięć lat wykładał też Wels w białostockim liceum plastycznym, całkowicie sprawdzając się jako pedagog. Wykształcił liczną grupę znanych malarzy, m. in. Cecylię i Sławomira Chudzików, Wiesława Jurkowskiego, Jerzego Lengiewicza i Jerzego Łabanowskiego. Stary, dowcipny, czasami złośliwy Wels, malarz sentymentalny i nie nowoczesny, puścił w świat całą grupę młodych artystów, którzy w późniejszych latach całkowicie sprzeniewierzyli się mistrzowi swoją twórczością, malując dynamiczne i brutalne, wyabstrahowane i wielkie płótna. Owszem, większość z nich po ukończeniu białostockiego liceum studiowała w wyższych szkołach plastycznych, stykając się z wybitnymi indywidualnościami profesorskimi, lecz trudno zaprzeczyć, że edukacja „u Welsa" odegrała pewną rolę w ich rozwoju. Nie jestem nawet w stanie skonkretyzować owego wpływu, ale czuję, że nie błądzę. Będzie zresztą okazja do rozstrzygnięcia tych wątpliwości — w przyszłym roku, podczas pośmiertnej wystawy Aleksandra Welsa, którą przygotowuje białostockie BWA.

Wels studiował m. in. w Krakowie u Stanisława Kamockiego, świetnego pejzażysty. Tak się złożyło, że właśnie teraz czynna jest jeszcze w białostockim „Arsenale" wystawa tego artysty, zmarłego w 1944 roku, urządzona w ramach cyklu prezentacji dzieł wybitnych twórców polskiej kultury artystycznej, zainicjowanego niedawno przez tamtejsze BWA. Chylę głowę przed tym niebanalnym, a przede wszystkim wartościowym pomysłem białostockiej placówki. Niech się żyjący malarze p r z e g l ą d a j ą w obrazach tych, co dawno odeszli. Bo — jak powiedział kiedyś Karol Szymanowski — „kto się wyprze swych przodków lub ich nie zna, to pomimo największego nawet talentu będzie najwyżej głupim partołą..."

Przeglądajcie się. Zbyt rzadko to czynicie.

IJK

P.S. W Bramie Krakowskiej w Lublinie czynna jest wystawa plenerowa pn. „Metafora", urządzona przez Muzeum Okręgowe. Ogólnopolski przegląd naszej twórczości o charakterze metaforycznym zgromadził sporo znanych autorów i kilka interesujących obrazów, co prowokuje do ogólniejszej refleksji. Odkładam więc ten temat na kolejną okazję.

Waldemar Dras

V

Z cyklu: „Noc jest chorą matką"

w błądzeniach dłoni gdzie ciekawość
pięści wysypuje palce i rozpędza się
słońcem ukłuć co już razem wiszą
by rozpętać śmiech do których mówię

do których mówię i z bielizn jasnych
suką zwiłutych wodząc sierść szczeniaków
wyciągam z nocy szeptów naszych dłoń
gdzie ciekawość pięści już układa palce

dla jednych wianek z perłą głowy
dla innych jeszcze ból
do których mówię strasznym lustrem ust
tych ptaków które spętał lot

Helena Gordziej

SIOSTRY MOJEJ MATKI

— surowe
podobne
sękatej mozaice desek
bochnom chleba
poczętym
w dzieży kwaśnym łonie

znały moc ostrożenia
podbiału lekarską mądrość
dotyk sierści zwierzęcej
tłumaczyły
na prostą filozofię życia

Siostry mojej matki
mają twarze wpisane
w hieroglify zmarszczek

odczytuję bezbłędnie
bruździstą osnowę
mądrość wyblakłych źrenic
ciepłą jak dotyk ręki

Jan Klimecki

* * *

Nawet twój uśmiech
jest tylko starannie ukrytą goryczą
pod maską serdecznych intencji

Ubrak słów
choć ich tak wiele
żadne nie sięga dna niepokoju
— niespokojna rzeczywistość
— niepokój przed imaginacji tworem
— niepokojący brak w nas wrażliwości
A ty a ja lub my oboje
zdani na łaskę własnych ramion
nieopierzonych
broniący się przed kłamliwym ruchem rąk
fałszywie brzmiącym szelestem wyrazów
uciekający przed sobą w nieznane
szukamy szczerych sposobów wymiany
doświadczeń

W mrok odchodzimy
zubożeni o skarby uczucia
nie zdobyte bez odwzajemnienia
gestu świeżości w każdej porze dnia

---

sopot FESTIWAL INTERWIZJI

Istvan Grabowski

KULTURA poszła w masy, więc na piosence zna się dziś każdy od Warszawy po Komańczę. Właściwie to wszystkie festiwale piosenki są długo i namiętnie komentowane w narodzie. Widać dopisują nam — głęboka znajomość rzeczy i niespożyta swada zagorzałych mówców. Wylewamy zatem potoki słów gromiących szmirę, tandetę i nudę, innym razem pochwalamy zawodników, postulujemy wprowadzenie nowych zasad, proponujemy urozmaicać składy piosenkarskich ekip, a festiwale jak funkcjonowały tak i funkcjonują nadal na spadającym nieustannie poziomie.

O festiwalu sopockim, uważanym powszechnie za ten najpoważniejszy, bo to reprezentacyjny i międzynarodowy, mówiło się ostatnimi laty dużo. Przede wszystkim dlatego, iż właśnie Sopot miał być w umysłach naszych fachowców piosenkarskim oknem na świat. Tu zapraszane masowo gwiazdy miały doznawać gwałtownego olśnienia produkcjami naszych twórców, kupować je, a następnie propagować w szerokim świecie, dostarczając tym splendoru i cennych dewiz polskiemu przemysłowi rozrywkowemu. Niestety nasi idealiści zapominali zupełnie, że większość, jeśli nie wszyscy, przyjeżdżali do Sopotu z myślą o lansowaniu własnej osoby. Na dodatek mieliśmy okazję gościć same zachodnie miernoty, które nie bardzo umiały dać sobie radę z utrzymaniem się na fali, a co dopiero mówić o podejmowaniu wysiłków celem reklamowania piosenek jakichś tam Koftów, Poznakowskich, Krawczyków, Krajewskich czy Kukulskich.

W nowym kształcie jako festiwal Interwizji, transmitowany bezpośrednio z Sopotu do bratnich krajów socjalistycznych, piosenkarski miting wypadł nadzwyczaj korzystnie. Oglądając go w amfiteatrze Opery Leśnej byłem pełen podziwu dla sprawności, energii i tempa imprezy. Po raz pierwszy od kilku lat nad Sopotem zaświeciło znów słońce, pozwalając rokować nadzieje na przyszłość. Już samo wprowadzenie na scenę Ireny Dziedzic i pary wodzirejów miało niebagatelny wpływ na prowadzenie i przebieg koncertów. Wprawdzie prezenterzy systematycznie kompromitowali się wygłaszając absurdalne banialuki (język jugosłowiański i kubański), niemniej sam pomysł zastąpienia sztywnego konferansjera parą jockeyów rodem z dyskoteki wydaje się interesujący. Inna nie mniej ciekawa sprawa, to głosowanie ośrodków interwizyjnych bezpośrednio po koncercie, związane z bardzo przyjemnym wręczaniem kwiatów zamiast punktów modelkom. Myślę, że pomysł ten został przyjęty z równym zainteresowaniem przez telewidzów jak i sopocką publiczność, która wreszcie miała okazję uczestniczyć w dobrze zrobionym widowisku rozrywkowym.

Nowa ekipa organizatorów imprezy pod nazwą Sopot 77 postawiła zdecydowanie na gwiazdy. Toteż zawitali w tym roku istotnie najsławniejsi, bo Helena Vondrackova, Jiri Korn, Maryla Rodowicz, Kati Kovacs, Frank Schobel, Zdzisława Sośnicka, Czerwone Gitary i Maria Farah. W takiej plejadzie gwiazd łatwo o przedobrzenie i tak się też stało. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, iż prezentowane szlagiery trąciły cokolwiek myszką? Bo przecież zarówno „Malowany dzbanek" Heleny Vondrackovej, jak „Elegia" Kati Kovacs, „Lola" Jiri Korna, „Chryzantemy" Lili Ivanowej czy „Skalinada" Olivera Dragojevica są piosenkami sprzed kilku lat, okrzyczanymi, wielokrotnie nagradzanymi i, powiedzmy szczerze, już przebrzmiałymi. Wydobywanie ich z lamusa zakrawało na perfidię. Najwidoczniej zaważyła chęć pokazania się w możliwie najlepszej formie. Zabawnym wydało mi się ponowne nagrodzenie i to Bursztynowym Słowikiem piosenki „Malowany dzbanek". Wprawdzie Vondrackova śpiewała ją znakomicie, niemniej była to laureatka Bratyslavskiej Liry z 1974 roku, na co panowie jurorzy powinni byli zwrócić uwagę. Gdyby bowiem w taki sposób podchodzić do sprawy zdobywania nagród, to możnaby po kilku latach, przypominać wszystkie nagrodzone już gdzieś poprzednio utwory.

Skoro jestem przy nagrodach, słów kilka o największych indywidualnościach tegorocznego mitingu. Było ich kilka, nagrodzon.. Maryla Rodowicz, usiłująca w przekorny sposób przedstawić niedoceniane „Kolorowe Jarmarki", jak i Jose Velez z Hiszpanii oraz dwie Rumunki, Angela Similea i Olimpia Panciu. Cóż, festiwalowe jury często bywa tajemnicze i nie dostrzega najwybitniejszych.

Najwięcej atrakcji dostarczyły sopockiej widowni i wszystkim telewidzom koncerty towarzyszących gwiazd. Nie wspomnę już o showmanie rodzimego chowu — Andrzeju Rosiewiczu, który bawił, gdy mówił, a nudził, gdy śpiewał powtarzane po raz setny wcale nie takie śmieszne pioseneczki, czy o sympatycznej pani Rinn, bo tych przecież mamy na co dzień, ale o wykonawcach zagranicznych. Zwłaszcza zaś o rewelacyjnej grupie murzyńskiej The Ritchie Family. Przyznam szczerze, iż podobnych wrażeń doznałem jedynie podczas marcowego koncertu Manhattanu Transfer. Równie dobrze prezentował się tercet wokalny, co tancerze i orkiestra złożona z czarnych, mających rytm we krwi Gipsy Line Band. To, co ujrzeliśmy na scenie Opery Leśnej, było znakomicie wyreżyserowanym w każdym drobiazgu show, o jakim nasi wykonawcy mogą jedynie marzyć w kolorowych snach. Tempo, wspaniały, pulsujący rytm Philadelphia sound, swoboda, niespotykana ekspresja i koktajl najlepszych czarnych przebojów rodem z Tamla Motown — oto najgłówniejsze tylko zalety Ritchie Family. Za ich sprowadzenie do Polski należą się pomysłodawcy jak i organizatorom słowa szczególnego uznania. Przy okazji wypadałoby życzyć sobie, abyśmy takie gwiazdy mogli oglądać częściej, jeśli już nie na estradzie, to przynajmniej w telewizji. Gra z pewnością jest warta świeczki.

Na czas trwania festiwalu piosenki całemu miastu udziela się specyficzna atmosfera. Ale też jak mogłoby być inaczej, skoro dosłownie każda witryna sklepowa, każdy zaułek ozdobiony był obowiązkowo plakatem wykonawcy bądź emblematem Bursztynowego Słowika, a miasto tonęło w reklamie. W tym roku do tradycyjnych już kiermaszy płyt i wydawnictw muzycznych, na których sprzedawano najnowsze propozycje fonograficzne i koncertów w muszli na molo, doszły dodatkowe atrakcje w postaci wystawionych na głównym deptaku miasta i przed Grand Hotelem odbiorników telewizyjnych. Rzecz w tym, że równolegle do zmagań piosenkarskich odbywał się w Sopocie festiwal telewizyjnych programów o nagrodę Bursztynowej Anteny. Emitowane w kolorze programy rozrywkowe były oczywiście bardzo ciekawe, stąd festiwalowi towarzyszyło zainteresowanie setek spacerowiczów, którzy idąc na molo, czy wracając na obiad, nie omieszkali przystanąć na jakiś czas przed ekranem telewizora. I jeszcze jedna ciekawostka — nikt tych wystawionych telewizorów nie ukradł. Wprost niesłychane! W ciągu trzech dni przez ekrany przewinęło się kilkanaście bloków z najciekawszymi propozycjami Karela Gotta i Zsuzsy Koncz, Muslima Magomajewa, Abby, Franka Schöbla i Jukki Kuoppamaki. Najlepszym okazał się program radziecki i on zdobył po raz pierwszy cenne trofeum.

Nie będę już wspominał o licznych bankietach, rautach i spotkaniach towarzyskich impresariów, kompozytorów, tekściarzy — słowem ludzi z branży rozrywkowej, którzy od lat podpisują w Sopocie liczne umowy i kontrakty, nierzadko zagraniczne, owocujące później przez okres roku. One to stanowią też w pewnym stopniu o atmosferce niezwykłości i wielkiego świata, zachwycających żądnych mocnych wrażeń i sprażonych słońcem stałych bywalców nadmorskiego kurortu.

Wydawałoby się, że obraz tegorocznego festiwalu powinien być niezmącony i klarowny. Działoby się tak istotnie, gdyby nie kilka minusów, których usunięcie wydaje się rzeczą konieczną, by utrzymać rangę międzynarodowego konkursu. Trudno przemilczeć, że obok wszystkich wymienionych już znakomitych artystów, w Operze Leśnej wystąpili najzwyklejsi pod słońcem amatorzy, którzy wolny czas winni poświęcić na intensywną naukę, a nie wojaże zagraniczne. Przecież występy duetu Lips, Andreasa Hauffa, Enrique'a, duetu Greta and Malou raziły amatorszczyzną i mierniutkimi umiejętnościami. Ich obecność na międzynarodowym festiwalu piosenki była co najmniej enigmatyczna. Niestety od tego, jakże często wytykanego grzechu, Sopot uwolnić się nie może. Wykonawcy zainteresowani pokazaniem się w naszym kraju nadsyłają nagrania i pochlebne recenzje, a kiedy już przyjadą do Polski może okazać się, że są raczkującymi szansonistami i mają ogromne kłopoty ze śpiewem w towarzystwie dużej orkiestry. Powstają wtedy przezabawne sytuacje, w efekcie których „zagraniczna wschodząca gwiazda", a w rezultacie zupełne beztalencie lub początkujący amator, musi decyzją kierownika muzycznego wylądować na widowni, a nie na scenie. Tak stało się na przykład z włoskim wykonawcą Al Barbero.

Maryla Rodowicz

Fot. J. Talar

Oczywiście jesteśmy zainteresowani eksportem polskiej kultury, a więc także piosenki. Trzeba jednak zachować umiar i zdrowy rozsądek. Lepiej sprowadzić mniejszą liczbę wykonawców, a lepszych, niż zupełnie nieznanych czasem także we własnym kraju „artystów". Jeśli chcemy widzieć Sopot imprezą na w miarę przyzwoitym poziomie, decyzje komitetu organizacyjnego winny być bardziej przemyślane. Inaczej bowiem festiwal, przed którym znowu otworzyła się nadzieja pełniejszego o dechu, zostanie zepchnięty do roli spędu trzecio- i czwartorzędnego garnituru piosenkarskiego. Festiwal Interwizji został przyjęty życzliwie przez inne kraje, toteż sądzę, iż na przyszły rok przyjadą nie mniej popularni i lubiani wykonawcy. Ważne, by dobre tradycje były kultywowane.

CZY WIT STWOSZ RZEŹBIŁ TAKŻE GÓRY?

Adam Chowański

WITA Stwosza (ok. 1438?—1533) znamy jako jednego z najwybitniejszych rzeźbiarzy Europy, twórcę — u nas, w Polsce — przede wszystkim słynnego ołtarza w Bazylice Mariackiej w Krakowie. Jest to nie tylko najsłynniejszy, ale zarazem i największy spośród ołtarzy w polskich świątyniach, jego wymiary wynoszą bowiem 13 na 11 metrów. Mniej już znane są szerszej publiczności dzieła stwoszowe w kamieniu, jak grobowiec Kazimierza Jagiellończyka na Wawelu, czy też płyta nagrobna arcybiskupa Oleśnickiego w katedrze gnieźnieńskiej. Omal zupełnie nie są znane stworzone w Krakowie przez Stwosza grafiki, ściślej — metaloryty o treści religijnej. A także jego prace malarskie. Te przypadają na okres późniejszy, ale pamiętajmy, że już dokumenty z okresu pobytu w Krakowie kilkakrotnie określają mistrza jako „Vittus pictor".

Nikt jednak chyba spośród nieprofesjonalistów nie podejrzewa — zapewne zresztą i niejeden z historyków sztuki o tym nie wie — że znakomity twórca rzeźbił także, być może — góry... Ale jakże osobliwie je rzeźbił! Bo oto jak zagadkowa informacja przytoczona jest w pracy H. Weiszäckera „Veit Stoss als Maler" („Jhb. d. Koenigl. preuss. Kunstsammlungen", rok 1897): że mianowicie Wit Stwosz był twórcą czegoś w rodzaju mapy plastycznej, z górami, dolinami, rzekami i lasami. Tę mapę (czy właściwie tak to można nazwać?) wyrzezaną dłutem Stwosza widział Jan Neudörfer, autor wydanej w r. 1547 w Norymberdze niewielkiej książeczki; był on biografistą twórców tego miasta i im właśnie była ona poświęcona.

Zagadkowa jest to w ogóle postać, Wit Stwosz — rzeźbiarz, malarz, budowniczy... Szczęście nie szło przed nim i za nim. Skąd pochodził? Uważano, że był norymberczykiem, to znów starano się znaleźć rodzinne jego związki z Krakowem. Odnaleziono wreszcie w krakowskim Archiwum Metropolitalnym dokument określający go jako „pochodzącego z Horb" (miasto nad Nekarem). Wynikałoby stąd, że nie urodził się w Norymberdze — notabene brak danych, że w młodości obywatelstwo norymberskie przyjął, jakkolwiek jest ślad zrzeczenia się go, gdy przenosił się do Krakowa — ale też z samego określenia „de Horb" nie wynika rozstrzygająco że tam się właśnie urodził. Czy jego rodzina miała jakieś związki z Łużycami? Są i takie przypuszczenia („horb", to po łużycku „garb"). Nie ma nawet ostatecznej pewności co do tego, jak powinniśmy pisać nazwisko. Formę „Stosz" przyjęli jako prawidłową niektórzy nasi uczeni (prof. Rospond, prof. Detloff), ale znów Polska Akademia Umiejętności zaleciła przed wojną pisać „Stwosz", unieważnienia zaś tego zalecenia — brak. Posługuję się tu na razie powszechnie stosowaną formą, póki nie zapadnie jakaś oficjalna, ostateczna decyzja w tej sprawie.

Stwosz był sławny, ale nie był człowiekiem szczęśliwym, to pewne. Do Krakowa przenosi się w r. 1477 (był tu już raz, krótko, prawdopodobnie w r. 1476). Zrzeka się wtedy obywatelstwa norymberskiego, a przyjmuje krakowskie. W latach 1477—1489 pracuje nad ołtarzem. W r. 1496 wyjeżdża na stałe do Norymbergi i ponownie przyjmuje tamtejsze obywatelstwo. Już w okresie krakowskim miał jakieś kłopoty finansowe, a tam... Wszedł w jakieś transakcje z oszustami i — chcąc ratować własne swoje pieniądze — sfałszował podpis jednego z nich. Stanął wobec tego przed sądem — i zagroziła mu, o horror, zwykła w takich razach kara spalenia na stosie: skończyło się wszakże wypaleniem piętna na policzku, karą nader upokarzającą, jaką stosowano wobec katów, hyclów i ludzi podobnej profesji. Nie powierzono mu w Norymberdze żadnej poważniejszej pracy. Wprawdzie cesarz Maksymilian zdjął z niego hańbę piętna, ale miasto nie chciało uznać tego postanowienia, rzeźbiarz podlegał różnym zakazom, musiał potajemnie uciekać, aby wykonać zamówienie gdzie indziej. Tak naprawdę, Norymberga uznała artystę długo po jego śmierci.

Wróćmy jednak do spraw zagadkowych.

Do Krakowa przybył Stwosz jako człowiek niespełna 40-letni; tak przynajmniej mówi Neudörfer. Badacze — niektórzy, oczywiście — sądzą, że mylił się on, i że w istocie Stwosz był o dziesięć lat młodszy. Osobiście skłonny jestem wierzyć Neudörferowi, jako że on właśnie był najbliżej Stwosza, skoro wydał swą książeczkę w czternaście lat po jego śmierci. Stykał się z nim, rozmawiał. Miał więc wiadomości z pierwszej ręki, mógł wreszcie rozmawiać z ludźmi, którzy mistrza długo i dobrze znali. Co do owej hipotetycznej mapy plastycznej wspomina, że sam ją widział. Przypuszczenia biegną w różnych kierunkach, a badacze współcześni mówią głównie o rysunkach Stwosza, przedstawiających m. in. góry, nie zaś o dziele rzeźbiarskim (wyjątkiem jest tu ołtarz krakowski). A może twórca, umierając, pozostawił po sobie zarówno ową „mapę plastyczną" jak rysunki? Wykonywano takie rzeczy już w owych odległych czasach. W Krakowie np. istniał model miasta wykonany na zamówienie rady miejskiej z wosku przez słynnego rzeźbiarza Jana Marię Padovano. Powstał ów model Krakowa w r. 1541 — a zatem cokolwiek później od daty śmierci Stwosza — ale nie dochował się do naszych czasów. Woskowe dzieło przepadło podczas jednego z licznych pożarów miasta.

Jedno przynajmniej pewne. Stwosz góry znał. Wiemy to choćby tylko stąd, że odwzorował je w scenach ołtarza mariackiego. Są tam w tle dalekie szczyty, są skały w zbliżeniu, są pasące się owce przedstawione w ruchu, wspinające się na stromiznę. Człowiek, który chce przedstawić taką scenę, musi ją wydobyć z pamięci — aby zaś tam utkwiła, widzieć ją musi nie raz jeden, przelotnie, lecz przyglądać się jej dłużej i częściej. O tym jak Stwosz przedstawił górski krajobraz w ołtarzu, można by napisać więcej, a na pewno ciekawie; uczynić jednak powinien to kto inny — rzeźbiarz najlepiej, znający i kochający góry.

Jeśli więc sprawą pewną jest, że Wit Stwosz rzeźbił już u nas góry, później malował je czy rysował, a zapewnie rzeźbił też w sposób podany przez Neudörfera, powstaje pytanie: jakie góry znał? Gdzie się z nimi stykał — co mu dało impuls, podniecenie? Skąd zaczerpnięte wrażenia pozostały w jego pamięci?

Jedno wiadomo na pewno. W swej d ugiej połowie życia, gdy już z Krakowa przeniósł się ponownie do Norymbergi, wykonywał jakieś prace kościelne i jeździł w związku z tym do Tyrolu. A więc znał Alpy. Ale czy to było właśnie to...? Inaczej mówiąc: czy Alpy były jedynymi górami, jakie znał? Jak to było podczas jego pobytu w Krakowie? A przed tą datą? W tyrolskim Schwazu przebywa mistrz w latach 1500—1503. W Krakowie zamieszkiwał lat dziewiętnaście, był tu już poprzednio (skąd przyjechał, jaką drogą się do Krakowa kierował?). Tatry są przecież tak blisko... Czy mógł je oglądać?

Jest to oczywiście domysł, lecz bynajmniej nie fantazja nierealna. Oczywiście Stwosz w Tatry nie chodził. W ogóle mało kto się zapuszczał w owe dzikie strony — rozbójnicy nie mieli tam co rabować, a do ukrywania się znajdowali dość innych, znacznie dogodniejszych miejsc. Natomiast w bliskości Tatr wiódł od niepamiętnych czasów szlak handlowy Polska — Węgry, przez Nowy Targ. Gdzieś zapewne już z XIII wieku pochodzi nazwa „Stare Cło", lokowana koło kościółka św. Anny — w XIV wieku natomiast mowa jest już i o „Novum Forum". Tym więc właśnie szlakiem mógł w bezpośredniej bliskości Tatr wędrować Wit Stwosz do Polski z ziemi węgierskiej, lub przebywać go w kierunku odwrotnym. Na czym opiera się prawdopodobieństwo takiego przypuszczenia?

Otóż tak... Stwosz przybył do Krakowa jako człowiek dojrzały, niezależnie od tego, czy miał wówczas 40 czy tylko 30 lat. Nie są znane jego losy w okresie poprzedzającym, ani też jakiekolwiek dzieło przez niego wtedy stworzone. A musiał przecież mieć naprawdę liczący się dorobek, gdyż inaczej nie powierzono by mu tak odpowiedzialnej (i kosztownej, dodajmy) pracy, jak stworzenie olbrzymiego ołtarza. Skądże więc rada miejska wiedziała coś o Stwoszu? Dlaczego właśnie jemu zaproponowano tę pracę?

Niektórzy badacze wyrażają pogląd, że stało się to z poręki królowej Elżbiety Rakuszanki, żony Kazimierza Jagiellończyka. Gdyby tak — oczywiście musiała ona coś o Stwoszu wiedzieć, znać chyba jego dzieła. Gdzie je poznała i czy artysta miał jakieś związki z ówczesnymi Węgrami? No właśnie...! Istnieje zgodność poglądów co do tego przynajmniej, że młody artysta odbywał kilkuletnią wędrówkę po różnych krajach, współpracując z rozmaitymi, starszymi, uznanymi już mistrzami. Taka czteroletnia wędrówka była w średniowieczu wymagana przez ówczesne przepisy cechowe; w danym przypadku przypuszcza się, że u Stwosza trwała ona dłużej. Uznawane jest za prawie pewne, także to, że przebywał on dłuższy czas na obszarach naddunajskich, praca więc i na terenie ówczesnych Węgier byłaby nader prawdopodobna. A przypuszczenia wzmacniają się przez ustalenie różnych innych faktów. Oto jeden z nich.

Jak wiadomo, grobowiec Kazimierza Jagiellończyka na Wawelu, dzieło Wita Stwosza, wykonany jest z czerwonego marmuru. Prof. dr Jerzy Szablowski starał się ustalić, skąd ten marmur pochodzi. Geolodzy, po wykonaniu ekspertyz, wykluczyli prawie całkowicie możliwość jego pochodzenia z ziem polskich, bo tak dalece skała odmienna jest od spotykanych u nas. A jednocześnie właśnie prof. Szablowski, historyk sztuki (wieloletni dyrektor Państwowych Zbiorów Sztuki na Wawelu), dokonał interesującego spostrzeżenia w miejscowości Święty Jur koło Bratysławy. Że mianowicie znajdujący się tam grobowiec Kaspra de Sered (z r. 1550) jest materiałowo pokrewny grobowcowi Kazimierza Jagiellończyka. Grobowiec świętojurski wykonano z marmuru pochodzącego z Węgier, konkretnie z Ostrzyhomia — i stamtąd też prawdopodobnie pochodzi marmur użyty na grobowiec Kazimierza Jagiellończyka.

Czas przyszły przyniesie — być może — jakieś bardziej pewne ustalenia. Ale niewątpliwe, że mamy do czynienia ze zbiegiem prawdopodobieństw: niemal pewny pobyt Stwosza w basenie naddunajskim, nader prawdopodobne zaprotegowanie artysty przez Elżbietę Rakuszankę radzie miejskiej Krakowa... Wiedeń w młodych latach Stwosza, czerwony marmur królewskiego grobowca... Ostrzyhom, główny szlak z Polski na Węgry przez Nowy Targ...

Jedno do drugiego zaczyna trochę pasować, toteż wolno tu właśnie skierować przypuszczenia odnośnie szlaków wędrówek młodego Wita Stwosza, poza — oczywiście — terenem południowych Niemiec. Do tego długotrwałość jego pobytu w Krakowie (19 lat), ruchliwość i względna łatwość podróży szlakiem na Węgry czynią jeszcze bardziej prawdopodobnym przypuszczenie, że wielki artysta miał sposobność podziwiać z niewielkiej odległości widok naszych Tatr, a wrażenia stąd zaczerpnięte dołączyły się do innych impresji górskich; refleks zaś tego da się wyśledzić w jego wspaniałej twórczości.

Widział to z bliska...? Nie widział...?

Fot. J. Vogel

Kamena str. 8

Polski Ikaros nad Europą

Dokończenie ze str. 1

—a zapisuje obszerne wspomnienia. Studia politechniczne w Kijowie, w Belgii — Liege i Gandawa, we Francji — Paryż. Przebywał jednak najczęściej na północy — w Lille i to miasto najmocniej zapisało się w pamięci pana Michała. Miał wtedy 18 lat. Oprócz znajomości języka polskiego z rodzinnego dworku wyniósł rosyjski, ukraiński, niemiecki, angielski, francuski i włoski, potem w wyniku dłuższych pobytów na zachodzie doszły duński, szwedzki, norweski, hiszpański i portugalski. Namiętnie więc rozczytywał się we wszelkiej dostępnej mu prasie, szukał wiadomości z dziedziny rodzącego się lotnictwa. I wtedy, właśnie w Lille, zaczął latać na balonach, a był to rok 1905. Tylko że przed dwoma laty bracia Orville i Wilbur Wright'owie dokonali w USA czterech przelotów na samolocie własnej konstrukcji, utrzymali się w powietrzu od 12 do 19 sekund, przebyli 260 metrów, a teraz, kiedy on próbował dopiero na balonie — przelecieli już 39 km w czasie 38 minut i 3 sekund. To podniecało. Zdążył jeszcze zawrzeć znajomość z wynalazcą i konstruktorem sterowców, płk. Karolem Renardem. Zainteresowanie społeczeństw tamtego okresu awiacją można by przyrównać tylko do entuzjazmu, jaki towarzyszył początkom lotów kosmicznych w naszych czasach.

— To nas interesowało nad wyraz i w niewielkiej grupie zaczęliśmy coś tam budować. Opieraliśmy się na pierwszych doświadczeniach Ottona Lilienthala. Nie bardzo nam się to udawało, nie chciało latać, jak powinno. Ja — może pierwszy w historii szybownictwa — poddałem myśl, że taki szybowiec można by wyholować w powietrze. Posiadałem motocykl i spróbowaliśmy, używając go jako siły wyciągowej. Tylko trzeba wiedzieć, że motocykl wtedy nie miał skrzynki biegów, a silniczek był słaby. Aby go uruchomić, należało rozpaczliwie pedałować, albo popychać i wsiadać w biegu. Jednak nagłe szarpnięcie szybowca kończyło się najczęściej połamaniem dykty, ogólnym potłuczeniem pilota; rzadko się udawało. Daliśmy temu pokój, ale wśród konstruktorów i pilotów poszła wiadomość o naszych próbach. Wystarczył najmniejszy pomysł, aby zainteresowali się nim ludzie rodzącego się wówczas europejskiego lotnictwa. Ja sam jednak w problemy konstrukcyjne się nie wdawałem. Mnie interesowało latanie, a możliwości się oddalały.

Musiał młody Scipio del Campo wrócić do Rosji, ale nawrotowi lotniczego amoku przysłużył się lokalny iluzjon, czyli kinematograf. Po Europie krążył reportażyk ukazujący loty braci Wright. Można było więc zobaczyć na własne oczy to, co było niemal legendą. Kiedy znowu wrócił do Francji, w Reims odbywał się właśnie pierwszy mityng braci lotniczej wielu krajów.

— Znalazłem się tam tylko w charakterze spektatora. Przypatrywałem się temu i owemu. Także licznym wypadkom, m. in. pierwszej lotniczki, baronowej de Laroche. Najbardziej podobał mi się samolot konstrukcji Louisa Blériot'a. Po długich pertraktacjach zakontraktowałem budowę takiego samolotu dla mnie, ale w mniejszej odmianie.

W 1908 roku Scipio del Campo przesiadł się ze sterowców na prawdziwy samolot. O tę datę potykają się autorzy z WEP i historycy lotnictwa, wystarczy jednak zobaczyć dyplom. Tak zwana szkoła posiadała tylko jeden aparat — „Bleriot". Dziś, zanim delikwent wzbije się w powietrze, zasiada na całe lata w szkole, ma licznych wykładowców, instruktorów, skomplikowane urządzenia kontrolne, wiele treningów.

— W jednoosobowym samolocie tamtego czasu mógł się kandydat na lotnika wznieść tylko sam. Mechanik podprowadzał go do zużytego przeważnie samolotu i tłumaczył, że ta rączka służy temu celowi, a tamta przeciwnemu. „No, a teraz, bracie, leć, a co będzie, to się dowiesz, gdy znajdziesz się w powietrzu!" Według programu najpierw miałem tylko kołować po lotnisku. U mnie odbyło się to w tempie nieoczekiwanie skróconym. Lewarek gazu był połączony z drucikiem celowo rozregulowanym — aby uniknąć nadmiernego dopływu gazu i wzniesienia się maszyny w powietrze. Ulokowałem się więc w samolocie, silnik zaskoczył, ruszyłem. Do dziś właściwie nie wiem: było to celowe z mojej strony, czy tylko przypadek? Faktem jest, że drucik jakoś się obluzował, silnik nabrał większych obrotów, samolot szybkości. Jego ogon wzniósł się przepisowo, po chwili zupełnie ustały telepizacje, podskoki maszyny po nierównościach terenu. Patrzę przez burtę kabiny, a ja już jestem w powietrzu, jakieś 50 m nad ziemią! Samolot był jednak stabilny, wiatru nie było, poleciałem do końca lotniska, zrobiłem wiraż — jeżeli można to było tak nazwać — obleciałem pole dookoła, przeleciałem nad tym miejscem, gdzie stała grupka obserwatorów. Wśród nich znajdował się także konstruktor, który dawał mi rozpaczliwe znaki, żebym lądował, nie marnował takiego majątku. Czułem się jednak w powietrzu doskonale, wykorzystywałem wskazówki mechanika sprzed startu, lotnisko obleciałem jeszcze dwukrotnie i przepisowo wylądowałem kilkadziesiąt metrów od miejsca zgromadzonych tam fachowców. No i zostałem zwymyślany przez konstruktora: na co się porwałem?! Ale w gruncie rzeczy był zachwycony, bo mój przypadek udowadniał, że aparat jest łatwy w prowadzeniu. Ja sam byłem zdania, że posiadłem sztukę latania. Podczas jednej z następnych prób doznałem przecież zawodu.

W czasie tego lotu pilot poczuł szarpnięcie samolotu: umilkł silnik. Trzeba było lądować w lipcowym życie. Zboże splątało płozy tak skutecznie, że maszyna przewróciła się na plecy i uległa poważnemu uszkodzeniu.

Scipio del Campo pojechał do Paryża, a tam odbywały się akurat próby samolociku skonstruowanego przez sławnego już Brazylijczyka, Alberta Santos-Dumont'a, który 7 lat wcześniej na sterowcu własnej konstrukcji okrążył wieżę Eiffla i przeleciał 12 km. Panu Michałowi udało się nabyć samolocik i po kilku próbnych lotach zdać egzamin. Właściwie było to wariactwo. Aparat miał silnik ulokowany na górnym płacie, siedziało się zaraz za nim. Śmigło wirowało przed samym nosem. Pod spodem samolotu umocowano dwa rowerowe kółka. Drążek sterowniczy przytwierdzony był z tyłu, więc wiraże uzyskiwało się przechyleniami ciała — by osiągnąć potrzebne wykrzywienie skrzydeł.

Wkrótce Scipio del Campo miał już własny samolot. Pociągi woziły go do Warszawy, Wilna, Petersburga, Moskwy i Samarkandy — pod opieką własnego mechanika, niejakiego Gilberta. W nadwiślańskiej stolicy była to prawdziwa sensacja, no i mimo zaborów — albo właśnie dlatego patriotyczne uniesienie biorących udział w pokazach sięgało szczytów. Oto pierwszy Polak prawdziwym pilotem nad polską ziemią! Jego pradziadowie przywieźli nad Wisłę włoszczyznę, a pan Michał aeroplan, który wznosił w górę nie tylko ciało, ale i ducha, narodową dumę.

Scipio del Campo był oficerem rezerwy, więc przez jakiś czas pełnił w Moskwie funkcję instruktora w tamtejszej pierwszej szkole lotniczej. Nikomu nie przychodziło do głowy, że samolot można

UWIECZNIONO JEGO DOKONANIA W WIELU PUBLIKACJACH

W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej: SCIPIO DEL CAMPO (szipjo del kampo) Michał ur. 26 I 1887 na Ukrainie, jeden z pierwszych polskich pilotów (sportowych), z zawodu inżynier mechanik; 1910 uzyskał dyplom pilota (we Francji), 1910—1913 dokonał w Polsce i Rosji wielu lotów pokazowych, a do 1926 — wielu lotów treningowych.

Encyklopedia Powszechna PWN (czterotomowa) dodaje: prowadził (1911) pierwszą szkołę pilotażu w Polsce (Awiata" w Warszawie).

Jerzy Domański — „1000 słów o samolocie i lotnictwie". Scipio del Campo Michał (ur. 1887), pionier lotnictwa polskiego. Był pilotem przed I wojną światową. W roku 1911 prowadził w Warszawie pierwszą szkołę pilotażu „Aviata". Brał udział w licznych lotach pokazowych.

Kronika najważniejszych wydarzeń z historii lotnictwa polskiego (w tej samej książce):

1908 — Pierwsi Polacy dokonują lotów na samolotach: Michał Scipio del Campo we Francji, Rudolf Warchałowski w Austrii.

1911 — Lato. M. Scipio del Campo oblatuje pierwszy samolot zbudowany przez Polaków — Cywińskiego, Zbierańskiego i Tańskiego.

postawić na odpowiednio przygotowanych płozach, a rosyjska zima aż o to się prosiła, aby coś zmienić w podwoziu aeroplanów. Wraz z owym Gilbertem przerobili więc podwozie, na miejscu jednak warunki wydawały się niemożliwe do wypróbowania pomysłu. Pojechali więc do Turkiestanu, na rozległe tereny. Lot się udał, ale lądowanie było przymusowe i to w miejscu najgorszym, jakie sobie można było wyobrazić.

— Trzeba wiedzieć, co to jest cmentarz muzułmański. Na każdym grobie kamienna płyta, zakończona jakby turbanem. Ostatnią siłą woli przeniosłem jeszcze maszynę poza to miejsce, zahaczyłem jedynie ogonem o ogrodzenie. Uszkodzenie naprawiliśmy sposobem kowalskim. Zgięty korbowód został podgrzany ogniem, co trzeba było — wyprostowano. I znowu wszystko „grało".

Potem liczne loty w Samarkandzie. Samolot coraz lepiej zdawał egzamin, płozy służyły dobrze. I wtedy zapragnął Scipio del Campo lotu długiego, z Samarkandy do Taszkientu. Wybrał dwa punkty po drodze dla uzupełnienia benzyny. Odwaga z lat chłopięcych wcale nie wygasła, niekiedy przybierała rzeczywiście znamiona już nie ryzyka, ale ryzykanctwa. Ponoć jednak wszyscy oni, ci najpierwsi piloci Europy, byli sobie podobni. Pierwszy odcinek przebył nad wyraz szczęśliwie, osiągając dobre wysokości i doskonały czas. Po nabraniu benzyny znowu wszystko szło znakomicie i dopiero w połowie zamierzonego celu pękł ów podgrzewany i prostowany korbowód. W chwili wypadku wysokość wynosiła 400 metrów.

— Przez ćwierć kilometra udawało mi się jść ku ziemi lotem ślizgowym, później straciłem panowanie, samolot wpadł w korkociąg i z około 120 m runąłem zupełnie pionowo. Miałem zwariowane szczęście, że wpadłem do wąwozu, na którego brzegach wsparły się skrzydła i dopiero wtedy się rozpadły. To właśnie zamortyzowało upadek. Wyszedłem z życiem, chociaż ze złamanymi czterema żebrami, prawą ręką w dwóch miejscach, prawą nogą i obojczykiem.

Brakujące do Taszkientu 100 km pan Michał przebył już bardziej przyziemnie, choć w ten sposób wcześniej podróżowali nawet władcy Wschodu. Otóż znajdował się między dwoma wielbłądami, wisiał na odpowiednio powiązanych żerdziach, które stanowiły jak gdyby hamak. Stało się to za sprawą księcia Mikołaja, członka rodziny cesarskiej. Kiedyś za petersburskie hulanki, ugryzienie złotego krzyża, który podawał mu do ucałowania metropolita i wiele innych kawałów, ale przede wszystkim za porwanie i potajemne ożenienie się z córką orenburskiego policmajstra — został Mikołaj pozbawiony prawa do sukcesji tronu i skazany na życie właśnie w Taszkiencie. Posiadał olbrzymią fortunę. W takiej to gościnie, pod opieką dworskich lekarzy, kurował się nasz lotnik przez około dwa miesiące.

Później, zaopatrzonego w kule, pociąg przewiózł przez Azję i Europę. Na podparyskim lotnisku spotkał wielu przyjaciół, a wśród nich baronową de Laroche, która po wypadku, podobnie jak Polak, wspierała się na kulach. Przyglądali się pokazom. I wtedy wpadł mu w oko nowy typ samolotu pilota i konstruktora Leona Morane. Na nim wnet weźmie udział w wielu konkursach i to z dobrymi skutkami. Przez trzy kwartały kroniki francuskie odnotowują wyniki Polaka: wygrany wyścig z Paryża do Bordeaux, pierwszą nagrodę w dorocznych międzynarodowych zawodach finansowanych przez przemysłowca Henri Deutsch de la Meurthe'a a także okrążenie Paryża przez określone punkty, wreszcie za najlepszy roczny wynik i wiele pomniejszych. Ale kilka tygodni później nieprzewidziany finał lotu z Petersburga (tam poznał innego polskiego lotnika, pięć lat od siebie starszego Pawła Zołotowa) do Moskwy nie pozwolił mu zmierzyć się z kolegami różnych narodowości, bowiem odpadł silnik z dobrze dotąd służącego „Morana" i trzeba było lądować w lesie. Jednak właśnie w Moskwie przedstawiciel powstałego niedawno towarzystwa lotniczego „Awiata" złożył mu ofertę i wnet Scipio del Campo objął w Warszawie szefostwo pierwszej w Polsce szkoły pilotażu.

Tam oblatuje pierwszy zbudowany przez Polaka samolot. Kroniki podają, że był on konstrukcji Stanisława Cywińskiego, Czesława Zbierańskiego i Czesława Tańskiego, sam pan Michał przypisuje autorstwo jedynie Zbierańskiemu. Toczył o to zresztą boje na łamach prasy w latach trzydziestych, gdy wrócił do kraju z Brazylii. Władzom carskim, a szczególnie Ministerstwu Sił Wojennych, nie mogło się podobać, że taka broń (a samoloty były już brane pod uwagę jako przydatne na wojnie) znajduje się w rękach polskich, w końcu więc doszło do likwidacji zarówno pierwszej wytwórni, jak i szkoły.

Pan Michał Scipio del Campo znowu wrócił do Francji, jeździł po Europie, brał udział w lotach treningowych na samolotach różnych typów, na „Pleriotach" znowu, na „Moranach", a także, ale także na „Etrichach", „Potezach" „Farmanach" i innych.

Po wspomnianych już zawodach w Bordeaux cała ówczesna lotnicza brać europejska i amerykańska zebrała się w pewnej knajpce. Podchmielił tam sobie wynalazca i pilot, autor wielu rekordów Roland Garros (ten sam, który później zsynchronizował karabin maszynowy ze śmigłem, co umożliwiło strzelanie przez obracające się śmigło bez uszkodzenia jego łopat) i powiedział:

— Ja wam przepowiadam, że nie minie dziesięć lat, a będziemy latali z szybkością 300 km na godzinę!

— Coś ty zwariował? Zalałeś się, bracie! — zawołaliśmy zgodnie — przypomina pan Michał. — No a dziś... Nikt też dawniej nie przypuszczał, że lotnictwo może służyć w przyszłości celom wojennym. I chociaż właśnie wojny je najbardziej rozwinęły, żal mi, że lotnicy to już nie tylko sportowcy.

Tadeusz Jasiński

Kamena str. 9

Sprzedaję cukierki

Jerzy Dostatni

Z NIESPODZIEWANĄ pomocą przyszedł mi Śledziński. Pewnego dnia po przypadkowym zresztą spotkaniu z dość uroczystą miną oświadczył:

— Nasza gazetka rozchodziła się bezpłatnie, więc nie mogłem nic płacić. Ale teraz daję ci bilet wolnej jazdy koleją na trasie Warszawa—Lublin. Tylko pamiętaj, że od tej chwili jesteś pracownikiem warsztatów kolejowych na Grochowie, a do Lublina jedziesz pomagać w naprawie lokomotywy. Jeżeli się dobrze zakręcisz, możesz dużo zarobić na tych darmowych przejazdach.

Dokument wyglądał dosyć solidnie, opatrzony był dwoma pieczęciami niemieckimi z „gapą" i jakimiś podpisami. Niemiecki tekst głosił, że jestem mechanikiem od naprawy lokomotyw i mam prawo wolnego przejazdu do Lublina celem pomocy w naprawach.

— Powiedz mi jednak prawdę — zapytałem — czy jest to papierek prawdziwy, czy też podrobiony?

— Najbardziej autentyczny. Jak go zdobyłem, to tajemnica. Ale zapewniam cię, że nie będziesz miał z tym żadnych kłopotów.

— A jak mnie zatrzymają i każą coś rzeczywiście zreperować?

— Naprawa lokomotywy trwa wiele dni i zawsze zdążysz się urwać. Ponadto taki papierek przyda się przy każdej łapance, zwolnią cię na mur (...)

Jestem więc w Lublinie i przy ulicy Młyńskiej szukam znajomych moich znajomych, gdzie zapewne otrzymam nocleg, co okazało się prawdą. Natomiast nie ułatwiono mi żadnych kontaktów handlowych, na co po cichu liczyłem. Jeszcze tego samego dnia udałem się pieszo do centrum miasta, aby rozpocząć swój cukierkowy handel. Dotychczas wszystko wydawało mi się bardzo łatwe: wejdę do sklepu, powiem co mam na sprzedaż, a zachwycony właściciel natychmiast kupi wszystko po cenie, jaką mu podyktuję. Rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Przede wszystkim ze względów psychologicznych. Gdy miałem wejść do pierwszego sklepu, właściwie sklepiku przy ul. Zamojskiej (dziś Buczka), nie mogłem się przezwyciężyć. Swoją rolę sprzedającego, jakby komiwojażera, zacząłem nagle uważać za coś bardzo poniżającego. Co będzie, jeżeli odmówi kupna? Czy oferowane przeze mnie ceny nie okażą się śmiesznie wysokie? Czy młody człowiek handlujący cukierkami nie wyda mu się podejrzany? Itd, itd.

I rzeczywiście moja pierwsza próba handlu nie powiodła się. Sklepikarz, też młody człowiek, sam jeździł do Warszawy, gdzie płacił nawet ceny niższe, niż ja miałem płacić Kazkowi — jeżeli mówił prawdę. W każdym razie nic nie kupił, podobnie było w kilku innych sklepach na Krakowskim Przedmieściu. Byłem coraz bardziej zniechęcony i zdenerwowany, wydawało mi się, że przechodnie patrzą na mnie jak na nieudacznika, który bardzo się wygłupia. Zacząłem się orientować w starej zasadzie przedwojennego handlu, że znajomości i przyjaźnie swoją drogą, a handel swoją, że w tej dziedzinie nie liczą się żadne sentymenty, a jedynie własny zarobek.

Tak rozmyślając znalazłem się przed wielkim sklepem Syndykatu Rolniczego na rogu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Chopina, nawet nie zdając sobie sprawy, że przed chwilą przeszedłem przed budynkiem, gdzie ma swoją siedzibę jedna z placówek gestapo. Nazwa „Syndykat Rolniczy" nie była dla mnie zachęcająca, ale w kącie jednego z okien wystawowych spostrzegłem kilka naczyń z cukierkami. A wiec jednak handlują i tym towarem — ucieszyłem się, nie mając zresztą większej nadziei na zawarcie jakiejś transakcji. Przyrzekłem sobie w duchu, że w najgorszym razie sprzedam cukierki po cenie zakupu, a może nawet nieco taniej, aby ich nie zabierać z powrotem do Warszawy.

Stojąca przy ladzie ekspedientka skierowała mnie do jakiejś pani na zapleczu. Moja rozmówczyni okazała się nie tylko bardzo sympatyczną, ale i życzliwą osobą. Wytłumaczyła mi, że moje ceny są zbyt wysokie i że Syndykat tylko bardzo marginesowo zajmuje się sprzedażą słodyczy, zresztą jedynie detalicznie. Mimo to kupiła pięć kilogramów, radząc zarazem, abym w Warszawie zaopatrywał się nie w sklepach, otrzymujących przydziały, ale bezpośrednio od pracowników Wedla i Fuchsa, którzy w określonych dniach też dostają swoje przydziały i sprzedają je taniej. Należy w tych dniach krążyć koło fabryk i oferować kupno wychodzącym, nie zrażając się pierwszymi odmowami — po jakimś czasie nawiążę stałe kontakty. Nieco drożej, ale taniej niż teraz, mogę kupić słodycze na placu Żelaznej Bramy lub przy ul. Przechodniej, gdzie koncentruje się handel hurtowy cukierkami. Do Syndykatu radzi mi przychodzić rzadko, bo instytucja ta ostatnio, jak się zdaje, jest pod specjalną obserwacją Niemców, którzy mogą się bliżej zainteresować młodymi ludźmi tu przychodzącymi.

Za poradą tej pani następnego dnia przed południem poszedłem do sklepu przy Krakowskim Przedmieściu 74, gdzie obok owoców i warzyw sprzedawano także słodycze. Właścicielka zrobiła na mnie wrażenie przekupki przemienionej nagle w kupcową, więc nie bez pewnego oporu wewnętrznego pocałowałem ją kilkakrotnie w tłustą i niezbyt czystą rękę, co jednak usposobiło ją do mnie jeszcze bardziej przychylnie. Ostatecznie po niedługich targach sprzedałem wszystko z pewnym zarobkiem oraz otrzymałem zaproszenie, abym stale dostarczał towar. Gdy po kilku tygodniach chciałem podziękować owej pani z Syndykatu za życzliwość i pomoc, chyba nawet protekcję u owej przekupki-kupcowej, już jej tam nie zastałem. Moje pytania o nazwisko lub nowe miejsce pracy zbyto milczeniem i do dzisiaj nie wiem, kim była owa pani.

Teraz przyszła kolej na zakup miodu. Odnalazłem sklep pszczelarski przy ul. Staszica, ale nikt tam nie chciał nawet rozmawiać o sprzedaży, wszyscy zasłaniali się koniecznością dostarczania Niemcom wysokich kontyngentów. Dosyć przygnębiony wróciłem na ul. Młyńską, gdzie wkrótce okazało się, że gospodarz jest jakąś ważną osobistością wśród pszczelarzy. W rezultacie wieczorem otrzymałem w dwóch dużych puszkach dwadzieścia kilogramów pięknie pachnącego miodu. Tak więc moja pierwsza wyprawa handlowa do Lublina zakończyła się ostatecznie względnym powodzeniem.

Na miodzie zarobiłem dość dużo, ale przy okazji poznałem jeszcze jedną tajemnicę handlu. Teściowie Kazka, oficjalni właściciele sklepu przy ul. Brackiej, rozdzielili miód do słoików po dwieście gramów — no, tak niezupełnie po dwieście — i zarobili na nim jeszcze 50 proc. sumy, którą ja zainkasowałem od nich. Ponieważ mój zysk nie przekraczał 15 proc., proporcja wydała mi się niezbyt właściwa...

Szukanie nowych źródeł nabycia cukierków w Warszawie, chociaż było dosyć uciążliwe, bardzo się opłaciło, tak że mój prywatny interes zaczął się zupełnie przyzwoicie opłacać — po uiszczeniu frycowego podczas pierwszej wyprawy. W Lublinie zaś zyskałem stałą dobrą bazę w mieszkaniu państwa Biniendów, którzy mieli mały, ale ze względu na miłą obsługę i dobre zaopatrzenie cieszący się dużą frekwencją sklepik przy ul. Królewskiej 15. Tam od ręki sprzedawałem większość towaru, tam miałem zawsze zapewniony nocleg. Wkrótce stałem się głównym dostawcą niemal wszystkich sklepów ze słodyczami w śródmieściu, wystawiając nawet rachunki z pieczątką jako Stanisław Lamparski. I tak trwało niemal półtora roku.

Pociągi w obie strony były zawsze przeładowane, każdy wiózł jakieś walizki, torby, toboły. Miejsca w Warszawie i w Lublinie zdobywało się niemal szturmem. Nikt się jednak nie oburzał, odwrotnie — jedni pomagali drugim rozumiejąc, że nie jeździ się dla przyjemności. Znakomitą większość stanowili handlarze, którzy sami siebie nazywali szmuklerami, chyba w odróżnieniu od szmuglerów, operujących na granicach państwowych. Tu wszystkich łączyła solidarność: dojechać na miejsce przeznaczenia i wrócić z towarem, dzięki czemu będzie można żyć dalej wbrew okupantowi i jego coraz bardziej restrykcyjnym zarządzeniom.

Solidarność ta przejawiała się zresztą najbardziej w drodze powrotnej do stolicy. Najczęściej rewizje bagaży odbywały się w Dęblinie, który w gwarze handlarzy został przezwany Gołocinem — od ogołacania podróżnych. Wyglądało to w ten sposób, że jeszcze zanim pociąg się zatrzymał, na stopnie wskakiwali żandarmi, czasem nawet gestapowcy i przystępowali do rewizji. Początkowo wskazywali palcami, które walizki czy toboły trzeba otwierać, pozostawiając inne w spokoju. Szybko jednak przekonali się, że niemal w każdym bagażu jest coś z żywności. Przewozili ją do Warszawy nawet ludzie, nie zajmujący się zawodowo handlem, a tylko jadący np. w odwiedziny do krewnych, zdając sobie sprawę, że w tych czasach taki prezent był najbardziej pożądany. Potem więc Niemcy zaczęli przeglądać wszystkie bagaże, bez względu na ich wielkość i kształt. Gdy tylko znaleźli kilogram mięsa czy masła — na pół kilograma niektórzy z nich patrzyli przez palce — cała walizka lub tobół wylatywały przez okno na peron, gdzie bahnschutze zabierali je na wózki.

Samoobrona była różna. Do Warszawy z zasady wracało się pociągiem nocnym. Owiniętą w czarny papier żywność dzielono na małe paczki, które drutem lub sznurkiem przywiązywano na zewnątrz wagonu, przyczepiano do podwozi lub chowano do skrytek po odkręceniu części siedzeń, oparć lub innego wyposażenia, nie wyłączając ubikacji. Sprzyjał temu fakt, że wagony z reguły były nieoświetlone, a jeżeli były, lampy się gasiło lub psuło. Również i na samej stacji paliły się tylko niektóre latarnie. Bywało też, że w porozumieniu z maszynistami lokomotyw paczki umieszczano pod węglem lub w zbiornikach wody. Kilka razy jednak Niemcy odkryli te schowki i aresztowali maszynistów, co zapewne skończyło się dla nich bardzo smutno.

Drugi rodzaj samoobrony polegał na możliwie najwolniejszym otwieraniu bagaży. Niemcy wprawdzie nie bardzo się liczyli z rozkładem jazdy pociągów pasażerskich, jeżeli ich opóźnienie nie hamowało transportów wojskowych. Zdarzało się więc, chociaż rzadko, że rewizji nie było w ogóle, albo trwała ona bardzo krótko. Jednak przeciąganie otwierania bagaży powodowało, że najczęściej dwu lub trzyosobowa ekipa Niemców nie zdążyła zrewidować całego wagonu. Były też inne możliwości: przesuwanie bagażu do tej części wagonu, która była już po rewizji, umiejętne pokazywanie tego, co się wiozło tak, aby mięso lub masło nie zostało dostrzeżone itp. Z czasem coraz więcej Niemców łakomiło się na łapówki, ale tylko wtedy, gdy na chwilę któryś z nich był sam, najwyżej we dwóch. Żywności nie brali, bo po naszym odjeździe musieli by ją oddać do ogólnej puli konfiskat. Dosyć chętnie natomiast przyjmowali młynarki, okupacyjne złotówki, znacznie chętniej niż własne marki, za które praktycznie nic nie można było kupić. Za złotówki zaś po kryjomu kupowali żywność i wysyłali ją paczkami do rodzin w Rzeszy.

Pewnego dnia niespodzianka: Niemcy w Dęblinie przeprowadzają rewizję w pociągu, jadącym z Warszawy do Lublina. Podobno poprzedniego dnia na tej stacji rozbiła się skrzynka z butelkami octu. Tyle że zamiast octu, jak głosiły etykiety, w środku była wódka. Wiozłem wtedy w przedziale dwie walizki cukierków. Jeden z Niemców zainteresował się nimi i kazał otworzyć większą, a potem pomaszerować z nią na wartownię. Zanim przyszedł, pociąg z tą mniejszą odjechał.

Niemiec przejrzał dokładnie moją walizkę, nie znalazł w niej nic podejrzanego, ale powiedział mi, abym przyszedł za kilka godzin, gdy będzie następny pociąg i wtedy odda mi mój bagaż. Odetchnąłem z ulgą, bo spodziewałem się innego końca. Od pewnego czasu woziłem po kilkanaście egzemplarzy „Biuletynu Informacyjnego", zapakowanych w torebkach z eukaliptusowymi cukierkami Wedla i oddawałem je w sklepie fryzjerskim przy ul. Zamojskiej — numeru nie pamiętam — przed ul. Bernardyńską, do którego wchodziło się po trzech czy czterech schodkach. Gdyby otworzył jedną z tych torebek... Wyszedłem z budynku stacyjnego wolnym krokiem, a potem coraz szybciej, niemal biegiem do następnej stacji i stamtąd do Warszawy. Niemiec z Dęblina miał niewątpliwie apetyt na cukierki, teraz już pewnie znalazł gazetki, ale to już mnie nie obchodziło. Straciłem cały bagaż, lecz uratowałem życie.

Jednak nieszczęścia rzeczywiście lubią chodzić w parze. W Otwocku do przedziału wsiadł kontroler i wyciągnął rękę po bilet. Byliśmy sami w przedziale. Podałem mu swój papierek mechanika. On długo mu się przyglądał, a nie zwracając go, usiadł obok i milczał. Zdałem sobie sprawę, że coś nie jest w porządku i zacząłem przemyśliwać, czy nie wyskoczyć w biegu, jednak pociąg zaczął już hamować przed następną stacją. Wreszcie kontroler odezwał się, na szczęście po polsku:

— Proszę pana, ten bilet nie jest już ważny. Niech go pan zaraz zniszczy, bo mogą być poważne nieprzyjemności.

I wysiadł. A ja w Falenicy zdążyłem kupić normalny bilet i już naprawdę legalnie dojechałem do Warszawy. Z wyjazdów do Lublina jednak zrezygnowałem. Nie z powodu utraty owego papierka, który podarłem na drobne kawałeczki, ale teraz każdy przejazd przez Dęblin mógł się okazać tragiczny. Przez jakiś czas więc byłem tzw. generalnym przedstawicielem położonej na Grochowie fabryczki krówek „Weneda", mając bazę w sklepie przy ul. Ordynackiej, który założył Kazek już na własny rachunek.

Fragment książki pt. „Jutro zawsze niepewne", która ukaże się w przyszłym roku nakładem Wydawnictwa Lubelskiego. Wspomnienie dotyczy lat 1940—1941.

Lekcja miłości

Henryk Makarski

PRZED blokiem siedział na schodach Heniu Koza, gryząc słone paluszki. „Cześć stary satyrze" — ja do niego. „Czołem, społem niebawem" — on na to. Słonko przypiekało jak nigdy o tej porze roku, tłumiąc słowa, myśli i uczynki. Ciepły wietrzyk figlował bezustannie. Młodziutkie studentki leniwie rozpinały płaszcze, obnażając tu i ówdzie to i owo. „I cóż począć z tak pięknie rozpoczętym dniem?" — bąknął Heniu, kiedyśmy do Chatki Żaka wchodzili, na dziewczyny patrzyli. „Studenci, ech studenci, łza się w oku kręci..." — podśpiewywał za uszami przygarbiony Wacuś — czterdziestolatek, ni to Kirgiz, ni to Turek, przygrywając na skrzypcach. Kręcone czarne włosy, zarośnięte srebrną szczeciną wychudłe policzki nadawały mu nieco demoniczny wygląd. Gdy nadejdzie ów czas, że Chatka Żaka przemieni się w mroczne, opustoszałe zamczysko, Wacuś-muzykant zapewne jego upiorem zostanie. Na razie — między stolikami łazi i gra, duszoszczipatielnyje niepokoje rozbudza, dziewczyny uczuciowe wzrusza a i w ciasnych alejkach ogrodu botanicznego przeraża, niekoniecznie w nieczystych zamiarach podchodząc, co i tak naraża go na zboczeńca miano. To tak, jakby wszystkich, którzy radość życia w śpiewie spacerowym wyrażają — za pijaków uważać... Podreptał Wacuś dalej, a my siedzimy, stygnąc i kapcaniejąc do reszty. Zjedliśmy po tatarze (miód sprawa, specjalność bufetu!), dopiliśmy czarną kawę z topornych musztardówek i smutek nas ogarnia, tłamsi i przygniata. Nagle Heniu rąbnął mnie w ramię: „Stary, zobacz, coś dla nas!" Na tablicy ogłoszeń (na tle banalnego plakatu pt. „Zespół tańca ludowego podbija serca Papuasów") jaśniała mała, skromna karteczka: „Dwie kulturalne maturzystki poszukują miłego towarzystwa porządnych studentów na bal studniówkowy. Ul. Przylaszczkowa 18/57". Podekscytowani ponętną ofertą przysiedliśmy na murku przed Chatką. Jako absolwent męskiego liceum miałem mgliste pojęcie o studniówkach. Z mrocznych, poklasztornych murów szkoły wyniosłem bagaż solidnej wiedzy, bóle reumatyczne i lęk przed dziewczętami. Studencka bezpośredniość odurzyła mnie, a każde zetknięcie z kobietą, zwłaszcza w zatłoczonym trolejbusie, dostarczało niezdrowych emocji i zakłóceń równowagi fizjologiczno-anatomicznej. „Ty, albo my to porządni?" — zmartwił się Heniu. „To zależy..." „No?" „Czy od słowa porządek czy też od pożądać..." „Widzisz go, polonista z bożej łaski!" „Wiesz ty co..." „Nie łam się, nie zginiemy, będzie nas dwóch!" „Taaak, ty i twój brzuch, to razem faktycznie będzie was dwóch! Ja poczekam". „Na co, ewentualnie mianowicie, na amnestię? „Człowieku, czy ty aż do nocy poślubnej... Zlituj się nad żoną swoją przyszłą a jeszcze niedoszłą, bo pęknie ze śmiechu!" Rzeczywiście. Nie pomyślałem o tym. Co robić, chyba pójdę, chociaż strach mnie jakiś ogarnia, lęk przed niewiadomą. Cokolwiek wiązało się w moim życiu z kobietami, stanowiło zagadkę, nerwowe spięcie, odruch nieokiełznany. Ilekroć zbliżyłem się do którejkolwiek z koleżanek na wyciągnięcie dłoni, od razu miałem wrażenie, że oto wiszę na krzyżu zupełnie nagi, w szklanej klatce. Mówiłem byle co, byle prędzej, głośno i z obawą, że mnie wyśmieją. Na dziewczynę patrzyłem jak na wilka. A teraz stoję przed próbą woli. Boję się, ale chciałbym wiedzieć jak to wygląda. „No i co, namyśliłeś się, cnotliwy młodzieńcze?" „Raz kozie śmierć, idziemy!" Dzyńdzylyń — melodyjnie zadźwięczał dzwonek w stylu retro i w judaszowej dziurce wizjera drzwi nr 57 (ulica Przylaszczkowa, kamienica cuchnąca przedwojennym mieszczaństwem) oko zabłysło. „Panowie w jakiej sprawie?" — badawczo otaksowała nas korpulentna dama w wieku balzakowskim i kształtach rubensowskich. Poza tym — zdaje się — nic wspólnego ze sztuką nie miała; chyba, że chodzi o sztuka-mięs.

Rys. E. Inglot

„My z ogłoszenia, proszę pani..." — powiedziałem szybko, by pierwsze lody przełamać. „Domyślam się, proszę bardzo, proszę, niech panowie wejdą do salonu! Bałagan tu trochę, ale jak to przy sobocie, proszę wybaczyć"! — krygowała się, gruchając z poprawioną fryzurą i świeżym makijażem. W samej rzeczy ów pokój, salonem zwany, lśnił czystością, ale jak to baby... „Panowie, znaczy, są studentami, prawda?" „Tak, w samej rzeczy". „A przepraszam najmocniej, proszę mi wybaczyć ciekawość, na którym roku panowie studiujecie?" „Na pierwszym, łaskawa pani" — uprzejmie wyjawił Heniu. „Tak, tak, studia to przyjemny okres w życiu człowieka — paplała pani domu, podając kawę i paluszki — ja też studiowałam. To był wzruszający moment, kiedy otrzymywałam legitymację studencką. Nie była może taka efektowna, wasze na pewno są ładniejsze, prawda?" „Proszę bardzo, możemy porównać!" — Heniu wyjął czarną tekturkę, złożoną na pół, a ja swoją, tak wypadało. Pani Czartoryskiej najwyraźniej o to chodziło. Sprawdziła dyskretnie aktualność pieczątek, cały czas trajlując o różnych takich duperelkach. „Ładnie tu u państwa..." — bąknął Heniu. „Wie pan, mój mąż lubi polować i te oto rogi, to jego myśliwskie trofeum..." — wskazała na okazały wieniec byka (samiec jeleń). A może to były nawet parostki rogacza, na tyle jeszcze nie byłem w stanie odróżnić, choć trochę fachowości podłapałem od kumpla, którego stary był myśliwym z odznaką tzw. złotego złomu, coś jakby generał myśliwych. Naprzeciw kokietowała golizną pulchna dama, siedząca nago z zagadkowym uśmiechem w złoconych bogato ramach. Ta reprodukcja „Anny" Renoira łudząco przypominała gospodynię; być może właśnie dlatego tu wisiała. Vis a vis kłuły nobliwą atmosferę mieszczańskiego salonu rogi rogacza, mówiąc popularnie. W każdym bądź razie, skojarzenie nagiej kobiety z rogami układało się w mojej nieskomplikowanej mózgownicy w logiczną całość, cokolwiek by można dobrego i złego o pani domostwa tego powiedzieć. Skrzypnęły drzwi; to powróciły z lekcji angielskiego córeczki Czartoryskiej. „Klaudia..." „Kliwia..." — niemal jednocześnie wyszeptały bliźniaczki o ciemnych, krótko obciętych włosach i wypukłych kuperkach, wciśniętych w dżinsy. W sumie — zgrabne i niewinne, ot, ładniutkie panieneczki z dobrego domu z zasadami. „Bo wiecie, panowie, skąd ten pomysł z ogłoszeniem. Otóż moje córeczki nie mają w klasie godnych siebie partnerów..." „Mamo..." — syknęła Klaudia, a może Kliwia, kto wie, bliźniaczki absolutne. „No jakżeż, czyż tak nie jest — oburzyła się mamusia — przecież ci twoi koledzy mają jeszcze pstro w głowie, jeszcze się upiją, a włosy aż do ramion. I to mają być mężczyźni!" — parsknęła, odruchowo spoglądając na nasze krótko ostrzyżone pojemniki myślowe. Fakt, byliśmy ostrzyżeni porządnie. Ale to była raczej konieczność (studium wojskowe!) niż nakaz moralny. „Panowie są poważnymi studentami, moje drogie, z perspektywą na poważne stanowiska, zapewne z szanowanych rodzin". „Mamusiu!" — syknęła Kliwia lub Klaudia. „Owszem, mój ojciec jest małorolnym chłopem z perspektywą na dochody kontraktacyjne, a kolega jest synem stolarza, z perspektywą na majstra działu meblowego". „Ładną mamy dziś pogodę" — westchnęła ciężko jedna z dziewcząt. „O rety! — jęknęła druga — już późno! Musimy się pośpieszyć, zabawa za dwie godziny!" Obie panienki opuściły towarzystwo, a nas los uszczęśliwił konwersacją z panią Amelią Czartoryską herbu Pogoń (linia wileńska, na koniu rycerz z podniesionym mieczem), wdową podwójną, z aktorską przeszłością, o czym zdążyła nas poinformować, zanim córeczki się wystroiły. Nareszcie u drzwi. „A pamiętajcie, moje kochane, o swoim nazwisku. Macie się dobrze prowadzić w tańcu i w ogóle, rozumiecie? Zresztą, ja tam przyjdę później, pomóc innym rodzicom, no, powodzenia, pa! A pamiętajcie jeszcze, że psu ani mężczyźnie wierzyć nie należy, trzeba dobrze ich karmić, nie drażnić i krótko trzymać!" — udzielała rad ostatnich; szeptem wprawdzie poufnym, ale nie przewidziała że ja świeżo po zabiegu u laryngologa byłem, któren mi szprycą wodną czop woszczynowy z ucha usunął, słyszalność do granic niespotykanych poprawiając. Przez pierwsze kilka godzin każde słowo jak jerychońskiej trąby grzmot słyszałem z precyzyjną dokładnością. „Do widzenia!" — pożegnaliśmy hrabinę Czartoryską, jakby nigdy nic. Na bal przyszliśmy w samą porę. Orkiestra stroiła instrumenty. Zaaferowane mamusie biegały z kąta w kąt, dokonując ostatnich zabiegów na biesiadnym stole w sali nr 5, a my oparci o drabinki gimnastyczne podziwialiśmy burzę fantazyjnie poplątanych pasów, pasków i paseczków z kolorowej bibułki, zwisających z sufitu. Miały one zapewne symbolizować przedmaturalny huragan myślowy. Zagrzmiały instrumenty gwałtownym tuszem wstępnym. Gdy ucichły ostatnie dźwięki gitary elektrycznej, na podium dla orkiestry wgramoliła się jakoś pani dyrektor Bogracz. „Drodzy moi! Witam serdecznie przybyłych na dzisiejszą uroczystość szanownych gości, witam wszystkich zebranych. Chciałabym, abyśmy weszli w dzień jutrzejszy ze świadomością obowiązków. Egzaminy maturalne już niebawem. Aby je zdać z honorem, należy już dziś, już teraz, wzmóc wszystkie wysiłki, zespolić się w jednolitym froncie kampanii przedmaturalnej. Należy nasze przedsięwzięcia poszerzyć, pogłębić, zharmonizować, zaktywizować, zdynamizować, zrewolucjonizować, z... z... zzzzz... — " bzyknęła jak gruby, przysadzisty bąk, nie mogąc już dalej. Usiłowała jeszcze coś powiedzieć, coś niesłychanie ważnego dla matury, szkoły i rozwoju ludzkości, ale dalsze jej słowa utonęły w żywiołowym gwarze sali balowej. Zeszła. „Tam ta ra ra ra..." — zabrzmiały pierwsze tony poloneza Ogińskiego. Przy mikrofonie stanęła dobrze rozwinięta maturzystka z fikuśnymi loczkami: „Poloneza czas zacząć. Podkomorzy rusza..." — rozpoczęła uroczyście, z przenikliwie lirycznym drżeniem głosu, a orkiestra poloneza coraz głośniej rznęła. Wzmacniacze pracowały na pełnych obrotach. Zaczęliśmy się kręcić, wirować, krążyć, obracać, zawracać, wywracać, gibać, trząść, skakać, śpiewać, deptać, popychać, podpychać, odbijać, obijać, itd. itp. oczywiście z wyjątkiem uroczystego poloneza. Coraz częściej sięgałem spoconą dłonią po chusteczkę. Kiedy po kolejnej polce „hop-siup" serce podeszło mi do gardła, przeprosiłem partnerkę i na mdlejących nogach wyszedłem na korytarz. Heniu za mną. Zaciągnął mnie do kibla, wyjął piersiówkę, chlapnęliśmy pod paznokieć, porządnie, za wszystkie czasy, za wszystkie udręki. Zdrowie wróciło. Kiedy zasiedliśmy do stołu i tortową woń niebiańską poczułem — świat nasz wydał mi się najpiękniejszym ze światów, a nasze gwiazdeczki najpiękniejszymi dziewczynami, przynajmniej w układzie warszawskim. „Witaj brzusiu, żegnaj kusiu!" — wyrwało mi się, raczej ni w pięć ni w dziesięć. „Abstrahując od altruistycznych zagadnień i metafizycznego pietyzmu, koherentność tego słowa jest immanentnym potwierdzeniem konwencjonalnej megalomanii mospana!" — odpaliła jedna z gwiazdeczek, triumfująco szczerząc perłowe ząbki. „No no no..." — wykrztusił z podziwem Heniu. „A gdzież to szanowna pani hrabina Amelia Czartoryska? Hę?" — wypaliłem, opanowawszy oporność języka i dumając, co by tu powiedzieć takiego, że aż... „Fama głosi, że rodzice ponieśli skrzynkę, w której coś dzwoniło..." — niewinnie zauważył Heniu. „Powiedzcie famie, że jest głupi!" — zacytowałem odzywkę Kuligosa, który epidiaskop mylił z episkopatem. „Niech żyje nielogiczny rozwój rzeczy pięknych!" — krzyknąłem znowu ni to ni sio, powodując okrutną uciechę otoczenia. Co było dalej, nie pamiętam. Taśma mi się urwała, przerwa w życiorysie, czarna otchłań bezpamięci... Ocknąłem się z potwornym bólem głowy. Uniosłem twarz znad stołu. Półmrok. Na ścianie rogi jelenia i naga modelka. Gwiazdeczka przyglądała mi się z drwiącym uśmiechem. Drwina ta budziła zaufanie, doprawiona ciepłym zainteresowaniem. Było w niej coś miękkiego, dobrego i szczerego. Jakieś odruchowe, spontaniczne zdziwienie, pomieszane z dyskretną delikatnością, subtelnym wyrzutem. Siedzieliśmy w milczeniu. „Nie wygłupiaj się, weź tę rękę!" — to głos gwiazdeczki drugiej zza ściany. „Klaudio, kocham cię! (z akcentem na „cię") — to baryton Henia. Szepty gwałtowne. Skrzypnięcie tapczanu. Cisza. Cisza tak cholernie cicha, aż w uszach dzwoni. Posłodziłem herbatę. Ta ładna kobietka obok mnie ma na imię Kliwia, tak. Bo skoro jej ucichła nagle za ścianą siostra jest Klaudią? W bladym świetle nocnej lampki widać było tylko jej twarz, o ładnych regularnych rysach, twarz Audrey Hepburn, dyskretnie podkreśloną rozczulająco krótkimi czarnymi włosami. Szlachetność jej urody onieśmielała mnie. „Co to jest miłość?" — przerwała wreszcie to paraliżujące milczenie. „A bo ja wiem, dziewczyno — pomyślałem — a swoją drogą zaskoczyłaś mnie, zastrzeliłaś, nie doceniałem ciebie, prywatkowa gąsko..." „Czy miłość to skrzypienie tapczanu?" — powiedziała cicho, na pozór beznamiętnie, z bezlitosną precyzją trafiając w sedno moich myśli. Patrzyła nieruchomo na ścianę za moimi plecami. Jeżeli nawet, do tej chwili, w mojej podświadomości tkwiło jakieś niejasne pragnienie posiadania tej pięknej dziewczyny, jeżeli w niepewnych myślach, urojonych wyobrażeniach, rozbierałem ją skrycie, zdzierałem pachnącą bieliznę i przewracałem na tapczan, obnażając jędrne, wstydliwe i bezbronne ciało, piękne w swojej wyzywającej kobiecości, odurzające dojrzałością, skrytą pod szkolnym fartuszkiem,

Dokończenie na str. 12

HOTELE ROBOTNICZE (III)

Zdzisław Kłosowski

PRZEDSIĘBIORSTWA budowlane, w których pracują mieszkańcy lustrowanych przeze mnie hoteli, dysponują znaczną liczbą miejsc wczasowych. Posiadają nawet własne ośrodki wczasowe, nie mają problemów takich, jak w innych przedsiębiorstwach, gdzie jest więcej zgłoszeń, niż możliwości skierowań na wczasy. Ale ta część załogi przedsiębiorstw, która mieszka w hotelach, a reprezentuje pierwszą linię wykonawstwa robót budowlanych, prawie nie korzysta z zakładowych urządzeń wczasowych. Na wczasy jeździ się do domu, na wieś, urlopy letnie wykorzystując na pomaganie rodzicom przy żniwach.

Robotnik budowlany: — *Miałem możliwość na wczasy pojechać, ale zrezygnowałem, byłem na żniwach u rodziców, a część urlopu spędziłem w Jarosławcu u wujka.*

Murarz: — *Urlop spędziłem u rodziców, mają gospodarstwo, pomagałem przy żniwach. Przedsiębiorstwo proponuje wczasy, nie są wykorzystane.*

Hydraulik: — *Ja to zawsze do ojca. Gdzie ja pojadę? Nad Białe Jezioro? A ojciec w pocie czoła będzie pracował?! Ojciec kijem nie rzuci. Mnie tam ciągnie do domu, do mamy. Nie chcę inaczej spędzać urlopu. Jakby ojciec nie miał pola, to bym pomagał ciotce, czy bratu.*

Pomimo, że pracują w mieście, niektórzy w bardzo odległym od rodzinnej wsi, związek ze wsią, z domem rodzinnym jest bardzo mocny. Dla niejednego jest to obowiązek syna czy córki wobec starzejących się rodziców, którzy pozostali na wsi i sami już nie radzą sobie z pracą w gospodarstwie.

Inni po prostu wyrośli w dużej familii ciotek, wujków, dziadków, więc ciągną w odwiedziny rodzinne. Jeszcze inni mają ze wsi dziewczyny czy chłopców i to jest przyczyną, że niechętnie korzystają z ofert wczasowych przedsiębiorstwa. Przy tej okazji rodzi się pytanie, czy młodzi robotnicy wywodzący się ze wsi są przygotowani społecznie i psychicznie do miejskiego stylu spędzania urlopów w miejscowościach wczasowych?

Kolejnym problemem do badań może być „funkcja informacyjna" letnich powrotów na wieś. Wieś jest ciekawa, jak się powiodło „miastowym", jakie są szanse w mieście, możliwości i niebezpieczeństwa. Jak spełniły się oczekiwania i nadzieje tych, co już się zdecydowali na wyjazd. Jeden z moich rozmówców dość sugestywnie przeliczał swoje zarobki w przedsiębiorstwie budowlanym na dochody z hektarów. Zarabia około 4000 zł miesięcznie, wyszło na to, że lepiej niż rolnik na 5-hektarowym gospodarstwie o ziemi żytnio-ziemniaczanej.

Nie tylko mieszkańcy hoteli spędzają we wsiach u rodzin, wolne dni sobotnio-niedzielne. Połączenia autobusowe są dogodne. Dla niektórych nawet czterogodzinna podróż autobusem nie jest przeszkodą utrudniającą wyjazd do domu. W domu u ojca zawsze się znajdzie jakaś robota. (*Jakiegoś koszyka byś uplótł, powiedział tata, poszedłem więc do lasu, wyciąłem parę patyków i uplotłem przez sobotę koszyk* — mówi hydraulik).

Wolne soboty i niedziele nie dla wszystkich jednak są okazją do wyjazdu na wieś. Ci, którzy się uczą, wykorzystują ten czas na naukę. W hotelu jest wtedy ciszej i spokojniej, a więc istnieją warunki lepsze, niż przez cały tydzień. Inni odwiedzają kolegów pracujących w pobliskich miastach, albo po prostu wypoczywają w hotelu.

Zdawałoby się, że te dwa dni są dla pracowników kulturalno-oświatowych hoteli dniami intensywnej pracy. W rzeczywistości nie ma dla kogo organizować imprez. Hotel przy ul. Wrońskiej zakupił sporo sprzętu turystycznego (24 namioty, komplet materacy, butle z gazem), może dysponować autokarem, ale organizacja wycieczek turystycznych sobotnio-niedzielnych nie udaje się. Po prostu nie ma chętnych, mieszkańcy nie wypożyczają też sprzętu turystycznego na wycieczki indywidualne. Tylko czasem uda się zorganizować wycieczkę autokarami na jakiś atrakcyjny mecz sportowy. W sumie: sprzęt turystyczny nie wykorzystany, a autokarem wyjeżdżają najczęściej pracownicy biurowi przedsiębiorstwa.

Moi rozmówcy opisywali, jak wykorzystują popołudnia. O pewnym dość powszechnym wzorze organizacji tego czasu barwnie mówił jeden z mieszkańców hotelu przy ul. Wrońskiej.

Na budowie się człowiek namarźnie, czasem zmoknie, różne są warunki atmosferyczne. Po drodze z pracy zrobi się zakupy, bo budowy są za miastem; tam nie ma zaopatrzenia a w czasie roboty majster nie chce puścić do sklepu... Przyjdzie się do hotelu, zje ciepły obiad, to padnie taki na łóżko — nie ma silnych i śpi. Obudzi się, to na telewizję. Telewizja ma jeszcze największe powodzenie, ale nie ma na to więcej czasu. Znowu trzeba iść spać, bo rano wcześnie się wstaje.

Ten dość powszechny sposób spędzania popołudnia uzupełnia się zabiegami higienicznymi oraz czynnościami niezbędnymi do regeneracji sił biologicznych. Przeglądanie prasy czy oglądanie programu telewizyjnego odbywa się często w stanie tak niesprawnej uwagi (senność i zmęczenie), że niewiele treści dociera do ludzkiej świadomości. Czynności te wykonuje się trochę mechanicznie, z nawyków.

W świetlicy przy ul. Podzamcze natknąłem się na czterech mężczyzn w miękkich pantoflach i bez marynarek: twarze zwrócone ku telewizorowi, odbiornik niewłączony, siedzą, nie rozmawiają i wpatrują się sennym wzrokiem w ekran. Druga obserwacja: sala widowiskowa z telewizorem, na ekranie obraz nieuregulowany, kontury tak nieostre, że prawie nie wiadomo, co się przedstawia, fonia też zniekształcona. Na sali siedzi około 40 osób, taka sytuacja trwa około 10 minut; zostawiam ich wpatrujących się w ten nieczytelny seans. Jest w tym coś z usypiania z gazetą w ręku, z czytania czy oglądania bez rozumienia treści. W półśnie — poczuwaniu.

Drugi wzór, obowiązujący w całej uczącej się zbiorowości mieszkańców, powtarza się z fotograficzną dokładnością.

Monter instalacji: — *Wróciłem z pracy o 14, zjadłem obiad, przejrzałem lekcje, na 16 do szkoły, po szkole umyłem się i spać.*

Murarz-tynkarz: *O 14 przyszedłem z pracy, zjadłem obiad i do szkoły. Po szkole przejrzałem lekcje, umyłem się i spać.*

Wysoką cenę płacą ci młodzi ludzie za awans, jaki sobie szykują przez podwyższenie kwalifikacji. Cztery lata wyrzeczeń i ciężkiej pracy. Ich czas wolny, jeżeli istnieje, mieści się w granicach kilku godzin tygodniowo — w skali jednego dnia są to minuty, dzielące pracę od posiłku, naukę od spania.

Fot. R. Sieńko

Trzeci z kolei wzór spędzania popołudniowych godzin ma charakter zabawowo-towarzyski. Mieszkańcy wyprawiają się do miasta, czasem trafią do kina, na dyskotekę, ale najczęściej to życie towarzyskie ogniskuje się w pokojach hotelowych. Wizytują się wzajemnie, rozmawiają o pracy, o sporcie, opowiadają anegdoty, a niekiedy popijają.

— *Są trzy daty: 10, 15 i 25 każdego miesiąca, na nie trzeba uważać bo to są dni wypłat, bo to są dni (pensja, wyrównanie, premia.. Wtedy najczęściej urządzane są uroczystości z alkoholem* — informuje kierownik jednego z hoteli. Zresztą okazji do bankietowania jest sporo. Wspomniane już „wkupne", gdy wprowadzi się do pokoju „nowy", to też okazja do wypicia. Szczególnie uroczyście żegna się kolegów idących do wojska.

Robotnik budowlany: — *Przyjęciami tego nie można nazwać, raczej są to libacje. Zdarzają się po wypłacie. Duże wódki. Wtedy jest najwięcej szumu, niedziela i sobota dla tych, co zostają, to też okazja do wypicia. W moim pokoju też się zdarzało gdy mieszkał starszy pan, a teraz nie. Bywało, przyjdzie z pracy: no to co machniemy kielicha? Potrafił w nocy przynieść z meliny wódkę i namawiał do picia. Robią też zakłady, np. o to czy „Motor" wygra też okazja do wypicia.*

Te okazje do goszczenia się mają dość prymitywny ceremoniał i oprawę instrumentalną. Stół bez serwety, najwyżej gazeta lub kawałek papieru. Przekąski w palcach, picie z jednej butelki czy szklanki. Ale są i inne przyjęcia: wystawne, z czystą serwetą, na ogół papierową, jednorazowego użycia, z zastawą stołową, droższym alkoholem, z daniami zimnymi i gorącymi, z ciastem i kawą. Są kwiaty i prezenty.

Różna jest wiedza służby hotelowej o tych formach życia towarzyskiego, o ich kulturze i atmosferze, różne też są stanowiska w stosunku do tego obyczaju. Tak na przykład służba hotelowa na Podzamczu prowadzi strusią politykę w tej sprawie, jak wynika z relacji jednego z pracowników.

— *U nas mieszka około 20 kobiet i mamy czasem wesela. Obchodzone są po cichu, nie oficjalnie, bo regulamin zabrania obchodzić większe uroczystości z alkoholem. Ostatnio odbyły się trzy uroczyste podejmowania się po ślubie. Większe przyjęcia urządzono gdzieś w mieście, w hotelu był poczęstunek dla kolegów hotelowych. Nie bywamy na nich i niewiele możemy o nich powiedzieć. Przy takich okazjach zawsze jest alkohol, a ja jestem w pracy, wie pan... Dowiadujemy się o przyjęciach, bo jest głośno, a na drugi dzień są notatki służbowe portierów hotelu o libacjach i stąd się dowiadujemy. Normalnie, choć nie można urządzać przyjęć, konsekwencji się nie wyciąga. Chyba, żeby były jakieś fatalne skutki, jak pobicie, czy niszczenie sprzętu.*

Oczywiście, jest to problem praktyczny: jak pogodzić zakazy i obowiązki regulaminowe z wymogami życia? Czy lepiej udawać, że nie wie się o urządzanych uroczystościach? Czy też lepiej uczestniczyć w nich w jakiś sposób, stymulując kulturę życia towarzyskiego? W hotelu przy Wrońskiej kierownik bywa osobą zapraszaną i bierze udział w takich spotkaniach bez ujmy dla swego stanowiska, a na większe uroczystości, jak zaręczyny i wesela, wynajmuje hotelową stołówkę. Wie więcej o życiu mieszkańców, ci zaś wiedzą, że mogą liczyć na jego pomoc i życzliwość w momencie urządzania ważnych dla nich uroczystości.

Do nietypowych sposobów spędzania wolnego czasu zaliczyć można codzienne, systematyczne ćwiczenia kulturystyczne (magazynier) oraz zajęcia melomana — muzycznie uzdolnionego mieszkańca z ulicy Pogodnej.

Lekcja miłości

Dokończenie ze str. 11

jeżeli nawet do tej chwili pragnąłem tego, podniecony łatwością sytuacji — to pytanie, zadane w samo serce z lodowatą celnością sprowadziło mnie z obłoków na ziemię. Pomieszała moje nieskomplikowane wyobrażenia o prywatkowych maturzystkach. Nie doceniałem jej. Potraktowała mnie jak dorosłego mężczyznę, jak poważnego partnera, ja też muszę — myślałem — potraktować ją tak samo. Potrafiła dojrzeć te trochę człowieka pod warstwą szczeniackiej pozy, fałszywej kreacji na super-giganta intelektu i libido. Bo przecież w gruncie rzeczy nie wygłupiałem się dla samego wygłupiania. Tu chodziło o coś innego, moja panno — myślałem. Nie mogę ci tego powiedzieć, ambicja nie pozwala. Chciałem upodobnić się do was, mówić waszym językiem, chadzać waszym śladem, stać się jednym z was. Po to tylko, by wasz organizm nie odrzucił przeszczepu. Byście mnie uznali za kumpla, z którym można normalnie porozmawiać, nie siląc się na teatralne gesty. Z którym można być po prostu sobą, moja kochana Kliwio. Milczysz. Ja też milczę. Milczymy oboje na ten sam temat. Ale przecież nie mogę ci powiedzieć, że i ja dojrzałem w tobie trochę człowieka. Ty po prostu przyjęłaś tę samą taktykę co ja! Ty także nosisz na co dzień maskę naiwnego, pustego dziewczyństwa. Maska ułatwia ci życie, jest tarczą ochronną, zakrywa wrażliwą twarz. Pozwala ci ona wtopić się w anonimowy tłum statystycznej przeciętności, gwarantującej bezpieczną wegetację w cieniu sporów o człowieka. Najłatwiej bowiem, w każdej sytuacji, powiedzieć „nie wiem, nie rozumiem", udać głupiego. Oboje nałożyliśmy te maski na wszelki wypadek, po to tylko, by nie narażać się na ryzyko. Wiesz, że nie jestem takim durniem na jakiego się zgrywałem. I ja również wiem, że nie jesteś taką słodką idiotką na jaką wyglądasz w swojej bezbronnej ponętności. Dopóki nie zadałaś tego pytania, każdy centrymetr twego ciała mówił: „Rozbierz mnie bez słowa i rzuć na tapczan. Pragnę tego, ale nie wypada mi powiedzieć, liczę na twoją męską domyślność, na twoją studencką męskość..." „Miłość to coś, co nie zdążyło się narodzić a już umiera. To obumierające narastanie. Jest zanikającym rozwojem. To nie paradoks, Kliwio. Jest rozrostem czegoś, bo ginąc — kiełkuje na nowo w konającej glebie..." — powiedzieć, nie uświadamiając sobie, czy chciałem jej to powiedzieć, czy tylko przez zapomnienie wyraziłem głośno swoje myśli. Nie miało to już żadnego znaczenia. Kliwia spała w fotelu, z głową opartą o poręcz. Opięte ciasnym sweterkiem krągłe dziewczęce piersi poruszały się miarowo. Nie zauważyłem kiedy zasnęła, zatopiony w rozmyślaniach. Stojąc w drzwiach pokoju popatrzyłem jeszcze raz na Kliwię „Ech, ponętna bestyjka, grzechu warta" — pomyślałem tylko, bo cóż mi innego pozostało. Przełknąłem ślinę. „Te, Szymek, jak ci poszło?" — szepnął obleśnie Heniu w przedpokoju, nakładając palto. „Mniód, człowieku, mniód" — krzyknąłem dumnie, trzymając fason, odmieniony jakiś. Wyszliśmy na świat o godzinie siódmej rano. Pani Amelii Czartoryskiej jeszcze nie było. Nawet nie spotkaliśmy jej po drodze...

Henryk Makarski

Kamena str. 12

WARSZAWSKI BRUK

Neofici na manowcach

Wojciech Roszewski

ISTNIEJĄCE przez szereg lat ograniczenia meldunkowe, kłopoty z mieszkaniami, wielkomiejski rozgardiasz dobry dla tubylców, lecz działający nerwicorodnie na przybyszów, nie uchroniły Warszawy przed ekspansją owego obrotnego narodu, który do chwili zakończenia wojny niewiele miał wspólnego ze stolicą, ale później wziął na ambit i postanowił ją opanować. Inwazja ta, co dziwniejsze, powiodła się i dziś pełnoprawnymi warszawiakami są nie tylko ci, którzy się w niej urodzili, lecz także ci, którzy przybyli, by podzielić z nią na dobre i na złe swój własny los. Czasami, jak to zwykle bywa w wypadku żarliwych neofitów, wstydzą się swojego pozawarszawskiego rodowodu, czasami eksponują go nawet nadmiernie. Ostatecznie nie można im mieć tego za złe.

Warszawskim neofitą z pewnego punktu widzenia jest także Edward Redliński, autor poczytnych powieści, jak „Konopielka" i „Awans". Uprawnia do tego stwierdzenia wywiad, jakiego był udzielił wysłanniczce „Kultury" (por nr 35, br.) Teresie Krzemień. Już sam jego tytuł „Raczej krowy na wygonie niż kossakowski koń..." — jest dość szokujący, ale w dzisiejszych wywiadach chodzi głównie o to, by szokować ludzi. Redliński w rozmowie z Krzemień znakomicie wywiązuje się ze swojego, nader nowocześnie pojętego zadania. Cel wprawdzie ma wysoki — chciałby mianowicie wprowadzić plebejską tematykę nawet do tak arystokratycznej świątyni, jaką jest teatr, ale szok jest szokiem. Zresztą posłuchajmy...

Nie jest dobrze, że tysiące widzów ziewają codziennie na Szekspirze, Schillerze, Słowackim, Wyspiańskim — stwierdza Redliński — *wyczekując z utęsknieniem kurtyny i że największym przeżyciem z całej wycieczki do teatru jest dla wielu spacer w teatralnym foyer z lustrami lub coca-cola w bufecie, że zmarnowanego wysiłku aktorów, z chybionej inwestycji — jaką jest każde przedstawienie, nie można usprawiedliwić się epitetami pod adresem „niewyrobionego widza". To wielka, skomplikowana i drażliwa sprawa. Teatry, muzea, filharmonie wypełnia dziś przeważnie — a przynajmniej powinna wypełniać — publiczność o rodowodzie plebejskim. Co to znaczy? Plebejusze nie wyrastali w krajobrazie sztuki „kulturalnej". Nie pobieraliśmy lekcji gry na pianinie, nie oglądaliśmy Rembrandta — nie mamy wrodzonego sentymentu do Wenecji, katedry Notre Dame, ni marki „Steinway" — te hasła nie budzą w nas „odruchu bezwarunkowego". Ale przecież nie rośliśmy w pustce — mieliśmy swój krajobraz uczuciowy swoją kulturę. Chłopską albo proletariacką. „Odruchem bezwarunkowym" ja zareaguję raczej na hasło: Gorzkie Żale, niż na hasło: Chopin. Głębiej wzruszą mnie walące się chaty niż ruiny pałacu, krowy na wygonie niż koń kossakowski, kicz z jeleniem niż rembrandty... Choć poza tym co nieco z kultury „kulturalnej" przyswoiłem, nie wchłonąłem przecież jej aż do rdzenia. Co więcej — dziś już nie jestem pewien, czy powinienem. Tylu ludzi porozumiewa się innym kodem niż kod „kulturalny", tylu ludzi żyje artystycznie, choć poza sztuką formalną, że... Ale przyjęło się, że mechanik samochodowy, że hodowca bydła, że konduktor mają uboższe życie duchowe, bo nie oglądają Cezanne'a nie słuchają Debussy'ego, nie czytają Prousta... Staroświecki to pogląd, salonowy. Czy doznania kierowcy w „spektaklu ulicy", emocje w „krajobrazie mechanicznym silnika" są uboższe od doznań snoba w muzeum? Czy nie mają walorów: estetycznych i etycznych?*

Dalej Redliński stwierdza, że „Szekspir jest nieludzki", czego wysłanniczka nobliwego w gruncie rzeczy pisma, jakim jest „Kultura" nie może już strawić "i popada v lekką konsternację. Właściwie to, co powiedział autor „Konopielki" brzmi dość wiarygodnie powiedziałbym nawet że zbyt wiarygodnie, żeby można się z tym było łatwo pogodzić. Trzeba wziąć pod uwagę, że we wnętrzu przytoczonej wypowiedzi nie myśl szaleje, lecz pewna emocja, której zadaniem jest zaszantażować nas na tyle abyśmy raz na zawsze zgodzili się z miłym sercu każdego mieszczanina poglądem, że chłop czy robotnik są niezdolni do opanowania jakiegokolwiek wychodzącego poza ramy ich świata dziedzictwa kulturalnego, a jedyne, co im pozostaje, to przedstawianie własnej egzotyki właśnie tak, jak to uczynił Redliński w „Konopielce".

Lud, zdaniem Redlińskiego, był, jest i ma pozostać ludowy, a wszystkie jego pozostałe aspiracje to pomyłka i snobizm. Nie powinien zatem ów lud pchać się do kultury, lecz pozostać przy swoim. Program taki jak wiemy, głosili kiedyś „Proletkultowcy" i jak każdy program konserwatywny umarł on śmiercią naturalną. Redliński chce go wskrzesić, bo wówczaś łatwiej byłoby mu uprawiać literackie straganiarstwo, jakie znamy z „Konopielki" czy z „Awansu". Ostatecznie, wyznaje, że nie bardzo wiedziałby co robić ze swoim bohaterem Kaziukiem, gdyby ten nauczył się czytać i pisać. Czytanie i pisanie, zwłaszcza literackie zdaniem Redlińskiego, to nie zbyt chłopska robota.

Rzeczywistość jest tymczasem taka, że lud wcale nieźle czuje się z Szopenem, Szekspirem, Rembrandtem czy Wyspiańskim. Znacznie lepiej w każdym razie niż z tymi, którzy pisząc sztuki, jak sam Redliński, w rodzaju „Czworokąta" czy „Wcześniaka" usiłują mu wskazać, jak sądzą zagubioną drogę do ludowości. Redliński powiada w wywiadzie, że nad „Jak wam się podoba" Szekspira w Narodowym przedkłada „Mecz" Głowackiego w „Powszechnym". Głowacki zamiast Szekspira to jest droga dla ludu, którą z całą pewnością lud nie pójdzie, lecz czego się nie robi, by rozkręcony w Warszawie w oparciu o frampolskie doświadczenia interes poruszał się coraz żwawiej?

Porównajmy sobie Kaziuka z „Konopielki" Redlińskiego z Michałem Topornym z „Tańczącego jastrzębia" Juliana Kawalca, a przekonamy się, jaki lud jest rzeczywiście dla kultury mieszczańskiej groźny — czy ten, który pragnie się zamknąć i unicestwić w swojej ludowości, czy też ten, który unicestwiając ludowość, porywa się na to, by opanować wielki dorobek kulturalny własnego narodu i ludzkości. Krótko mówiąc, przyjaciel ludu Redliński chce go wpędzić w ślepą uliczkę i nie dziwota, że ów program kulturalny z pewną miłością przyjmowany jest w Warszawie, przynajmniej w tej, która z plebejuszami ma swoje własne kłopoty i chętnie chciałaby ich skazać na przebywanie wyłącznie w getcie ich własnej kultury. Po co komu Szekspir, skoro jest Głowacki? Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, ludowi instynkt nie pozwala nabierać się na takie numery.

TAJEMNICZY „NEMO"

Marek Zdrojewski

ZAGADNĄŁEM niedawno mistrza iluzji „Nemo" (vel: Juliusza Koneczyńskiego, ur. w 1913 r. w Krakowie; mieszkańca Częstochowy), jak przyjąłby artykuł o jego karierze artystycznej w lubelskiej „Kamenie"? Odrzekł — jak zwykle — niezwykle: „— Ze wzruszeniem i nie bez satysfakcji. A to — dodał — z co najmniej dwóch powodów. Primo — tak się złożyło, że lat temu z górą 40 w Lublinie coś niecoś zdziałałem". I — zamiast „secundo" — zacytował nie wymagające komentarza takie zdanie znanego reportera: „*Kamena* lubelska jest szlachetnym klejnotem naszego piśmiennictwa literackiego" (Andrzej Szczypiorski: „Portret znajomego". Warszawa 1962, s. 155).

Jest „Nemo" artystą nie tylko w sztuce iluzji znaczącym. Po swym sławnym ojcu, Tadeuszu (1875—1944) — doktorze filozofii, reżyserze, dyrektorze teatru, autorze głośnych niegdyś dramatów, prozaiku i publicyście — odziedziczył rzadko spotykany dar słowa. Jego elokwencja sprawiła m. in. to, że przed kilku laty zaproszony został — jako jedyny dotychczas iluzjonista — do udziału w popularnym programie telewizyjnym „Tele-Echo". Żartując powiada, że przecież „na początku było słowo", a poważniej kontynuuje radząc, by „słowo pieścić dopóty, dopóki się nie uśmiechnie". Wyczulony jest bardzo na wszelkie niepoprawności i niezgrabności w mowie, a zwłaszcza w mowie scenicznej. W tym ostatnim przypadku jest po prostu pozbawiony nawet krzty tolerancji. Uzasadnia to najsłuszniej w świecie następującym aforyzmem Austriaczki, Marii von Ebner-Eschenbach: „Kto występuje publicznie, nie powinien się spodziewać ani domagać wyrozumiałości".

Nie tylko na estradzie, lecz również w pogwarkach z licznymi wielbicielami sztuki iluzji, prowadzonych najczęściej w garderobie lub za kulisami, operuje „Nemo" językiem giętkim, błyskotliwym i często do tego stopnia kalamburowym, że jego adwersarzom doprawdy trudno jest dociec, gdzie kończy się żart i kpina, a zaczyna mowa na serio. Autor tego tekstu niejednokrotnie miał sposobność przekonać się o tym naocznie. Oto w 1965 r. w Bodzentynie (Kieleckie), po występie świetnego duetu iluzjonistów „Nemo" — „Salvano", w opustoszałej już sali domu kultury obstąpili mistrzów niedawni widzowie. Podczas gdy „Salvano" tuż po przywitaniu się z dorodną kilkunastoletnią panienką sprezentował jej „na pamiątkę" — jej własny zegarek, to „Nemo" w tej samej chwili wpisał na odwrocie swej reklamowej fotografii — przeznaczonej dla owego wyjątkowo uroczego „zjawiska" w minispódniczce — taką dedykację: „Ślicznej Dziewczynie z rowerem na nosie — NEMO, czyli: N — jak niemożliwe, E — jak ewentualnie, a MO — to Panienka z pewnością wie, co oznacza". A kiedy stojący w pobliżu młodzieniec zapytał: „— Mistrzu, ile czasu trzeba ćwiczyć takie fajne sztuki?" — usłyszał bezzwłoczną odpowiedź: „— Pamiętaj, chłopcze, że mistrzowie... nie ćwiczą!" Wyznaje „Nemo" też zasadę, że „iluzjonista nie powinien zabiegać o to, by jego kunszt znalazł uznanie, ale by na nie zasługiwał" i stosuje się doń od zarania swej zawodowej kariery artystycznej.

Startował w dziedzinie iluzji dość dawno, bo — po debiucie w wieku chłopięcym na wakacjach w Mszanie Dolnej (Krakowskie) i 10 latach działalności amatorskiej z rekwizytami magicznymi pochodzącymi w przeważnej mierze od wiedeńskiego Klingl'a (która to firma istnieje już ponad sto lat) — 31 grudnia 1934 r. we Lwowie w kinie „Stylowy". I to od razu w trzech następujących po sobie dwugodzinnych rewiach sylwestrowych. W repertuarze miał wtedy m. in. „chicago-trick z 8 bilami (manipulacja dwuręczna), a na finał zniknięcie klatki z kanarkiem.

Nie miał „Nemo", jak inni iluzjoniści, jednego nauczyciela w tej profesji. Jednak dużo zawdzięcza takim europejskim mistrzom, jak: wiedeńczycy „Alfredo Uferini" (vel: Alfred Ufer), „Arno Gatti" (syn pierwszego) i Fred Rohner, Węgier „Corodini". Czech z Pragi „Wendland" (vel: Żenaty), Niemiec z Drezna „Recha" oraz Polacy — iluzjoniści lwowscy „Sembulerus" i „Auerini" (vel: Auerbach), „Mefisto" (vel: Jan Segal) i „Remerbi" (vel: Tadeusz Grabowski z Warszawy: obecnie członek Krajowej Sekcji Artystów Iluzji). Pogłębiał zresztą swą wiedzę fachową oraz doskonalił umiejętności permanentnie, świadom chińskiego przysłowia, które głosi: „Uczenie się jest jak wiosłowanie przeciw prądowi, gdy się przestaje, płynie się z powrotem".

Na przełomie lat 1935/1936 w Lublinie był „Nemo" współorganizatorem i kierownikiem kabaretu Akademickiego Koła Polskiego Czerwonego Krzyża pn. „Chochlik Lubelski", w którego trzech różnych programach występował jako iluzjonista i konferansjer.

Od 1 listopada 1936 r. w kawiarni „Ziemiańska-Artystów" w Warszawie pracował w programie rewiowym z bardzo dobrą obsadą aktorską. W latach 1937-1938 występował w lokalach rozrywkowych stolicy oraz Krakowa, Lwowa, Wilna, Gdyni, Torunia, Byd-

Dokończenie na str. 16

kultura 1977

ARCHEOLOGIA

● Prowadzone od czterech lat przez Zakład Archeologii UMCS pod kierownictwem doc. dr. Jana Gurby badania nad środkową Hudzwą w woj. zamojskim ujawniły w ostatnim miesiącu szereg znalezisk dotyczących dziejów starożytnego osadnictwa na tym terenie. I tak we Wronowicach-Paprzycy odsłonięto ślady osiedli z epoki brązu w postaci szczątków urządzeń gospodarczych, m. in. żaren. Odkryto także pozostałości paleniska z „cegiełkami" glinianymi — co wiąże się z warzelnictwem soli, a które dotychczas znajdowano w Polsce południowej w rejonie żup wielickich. W Czermnie odkopano dalsze materiały dotyczące grodu „Czerwień" — liczne militaria, szczątki ozdób, przedmioty związane z kultem religijnym z XII i XIII stulecia. Na szczególną uwagę zasługuje fragment ornamentowanej rytowaniem płytki kościanej.

● W ostatnich latach odnaleziono wiele tysięcy starogreckich amfor na obszarze świata antycznego, od Gibraltaru do Indii, od Kijowa do doliny Nilu. Jak wykazały badania, amfory, naczynia gliniane, zależnie od kształtu, wielkości, miejsca produkcji dostarczają wiele informacji o wielkości i zasięgu starożytnego handlu. Okazuje się, że amfory miały znaczki miast, w których je produkowano, a służące do przewozu wina były zawsze jednakowej objętości, tara była jednakowa w każdym z miast ..

LITERATURA

● Z okazji zbliżającej się 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej ukazało się już lub ukaże w najbliższych tygodniach wiele interesujących dzieł. Czołową pozycją będzie wybór prac Włodzimierza Lenina pt. „O Rewolucji Październikowej". Wybór ten pozwala się zorientować w leninowskiej metodzie rozwiązywania zagadnień budownictwa socjalistycznego. Walentyna Najdus jest autorką książki pt. „Lenin wśród przyjaciół i znajomych w Polsce 1912—1914", a pracą zbiorową uczonych radzieckich „Historia dialektyki marksistowskiej. Etap leninowski". „Obalenie caratu" Ludwika Bazylowa przypomni najważniejsze sprawy imperium rosyjskiego w ostatnim okresie jego istnienia. „Ostatnie dni caratu" Aleksandra Bloka to dokumentalny opis dramatycznych wydarzeń w przededniu Wielkiej Rewolucji. Ukażą się także książki o J. Marchlewskim, F. Dzierżyńskim i stosunkach polsko-radzieckich.

● „Dziennik Ludowy" wraz z Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz różnymi instytucjami ogłosił czternasty konkurs „Złoty kłos dla twórcy — Srebrne dla czytelników". Organizatorzy proponują tym razem dyskusję nad następującymi książkami współczesnej literatury polskiej: „Lot ku ziemi" R. Bratnego, „Kontuzja" Z. Bystrzyckiej, „Zarudzie" J. Iwaszkiewicza, „Oset" J. Kawalca, „Półbaśnie" T. Nowaka, „Konopielka" E. Redlińskiego, „Młodego warszawiaka zapiski z urodzin" J. S. Stawińskiego, „Wilcza jagoda" S. Szmaglewskiej, „Odpoczniesz po biegu" Wł. Terleckiego i „Plaża nad Styksem" W. Żukrowskiego.

● Rozstrzygnięty został konkurs na radiowy reportaż literacki pod hasłem „Tradycje — przemiany — teraźniejszość i przyszłość regionu lubelskiego", ogłoszony z okazji 25-lecia Rozgłośni PR w Lublinie. I nagrodę zdobyła Janina Jankowska z Warszawy za „Zwyczajną noc", dwie równorzędne II — Małgorzata Sawicka za „Balladę o Wrotkowie" i Kazimierz Dymel za „Przy ognisku" (oboje z Lublina), III Andrzej Bartosz z Białegostoku za „Balladę gminną". Wyróżnienia przyznano Krzysztofowi Turowskiemu z Łodzi, Witoldowi Ślusarskiemu z Krakowa i Wacławowi Horoszkiewiczowi z Katowic. Wszystkim gratulujemy.

MUZYKA

● Bydgoszcz słynie jako ośrodek muzyczny wielkiej, międzynarodowej klasy. Przyczyniło się do tego wybudowanie przed 19 laty gmachu Filharmonii Pomorskiej im. Ignacego Paderewskiego, którego sala koncertowa zaliczana jest do najlepszych w świecie pod względem akustycznym. W br. zapoczątkowano tu również spotkania młodzieży muzykującej z krajów socjalistycznych. Mimo wielu zobowiązań krajowych i zagranicznych filharmonicy bydgoscy organizują co roku tysiąc koncertów popularyzatorskich w trzech województwach.

● Wszyscy znamy Wielką Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia i Telewizji w Katowicach. Ale mało kto wie, że przy tej orkiestrze działa także kilka innych zespołów. A więc kwartet smyczkowy im. K. Szymanowskiego i drugi kwartet smyczkowy im. G. Fitelberga, 16-osobowa orkiestra kameralna, trio fortepianowe i kwintet instrumentów dętych. Zespoły te występują zarówno w kraju jak i zagranicą.

● W Mariańskich Łaźniach odbył się XVIII Festiwal Chopinowski. Przeważała muzyka tego kompozytora, chociaż grano także utwory kompozytorów współczesnych, głównie czeskich. Drugi oraz ostatni koncert prowadził dyrygent Filharmonii Narodowej w Warszawie Wojciech Michniewski. Na koncercie inauguracyjnym Krystian Zimerman porywająco grał Koncert f-moll Chopina. Odbyło się również seminarium na temat interpretacji dzieł Chopina, eksponowano także nadesłaną z Warszawy wystawę „Portrety Fryderyka Chopina w grafice, rysunku i akwareli".

OPINIE

● „Wdzięk powinien być wielką bronią dekoracji, artyleria ubioru, bogiem wojny o serca i umysły. Za mało z tej broni strzelamy. Nie jest to stron zlekceważona jak kiedyś poezja Gałczyńskiego, ale ciągle jeszcze trochę lutewieje w arsenale naszych argumentów. Wdzięk jest sprawą wagi państwowej, możliwy tam, gdzie poziom kultury rośnie, a więc również u nas, a także tam, gdzie warunki gospodarcze pozwalają, żeby człowiek znaczył swoją pracę piętnem własnej osoby, gdzie czuje się nieskrępowany przy zakupie wazonika czy smażeniu konfitur dla klientów, gdzie czuje się faktycznym gospodarzem ulicy, miasta, biura, knajpy czy toalety. Wtedy będzie kwitła różnorodność, barwność, a wnętrza i ludzie będą cieplejsi". (Daniel Passent — „Polityka" nr 36).

● „Język jest narzędziem myślenia, a myśl stanowi odbicie obiektywnej rzeczywistości. Język jest też środkiem społecznego obcowania. Im lepiej opanujemy język, tym skuteczniej poznajemy rzeczywistość, tym lepsze i pełniejsze są nasze doświadczenia społeczne. Lepiej i głębiej rozumiemy siebie i innych. Obowiązkiem Polaka jest troska o kulturę języka. Każdy kto godzi się z własnym ubóstwem językowym rozluźnia tym samym swoje kontakty ze społecznością, a w drastycznych przypadkach staje na marginesie społeczeństwa. Dezaprobatę musi budzić posługiwanie się żargonem jako skrajny przykład zerwania więzi ze społeczeństwem". (Wojciech Jamroziak — „Nurt" nr 9).

● „W myśl przepisów każdy nauczyciel ma obowiązek w ramach etatu dwie godziny tygodniowo poświęcić na pracę pozalekcyjną, kontrolę działań społecznych uczniów lub zastępstwa lekcyjne. (...) Robi więc tak, by jego praca była w szkole widoczna — obsługuje akademie, wieczornice i sesje. W efekcie kwitnie „twórczość okazjonalna", która ma właściwie niewiele wspólnego z estetyką. Uroczystości moc, zatem nie ma czasu na przemyślenie doboru repertuaru ani odpowiednio solidne przygotowanie interpretacji oraz kształtu scenicznego przedsięwzięcia". (Józef Żurawski — „Opole" nr 9).

TEATR

● Niemal karna wyższa ucznia w Polsce ponadto teatr studencki — jest tych teatrów około 190. Na festiwalu debiutów co roku występuje około 15 nowych zespołów. Najbardziej wartościowe spektakle pokazywane są na konfrontacjach Małego Teatru w Lublinie oraz podczas Łódzkich Spotkań. Przeważnie są to teatry publicystyczne o charakterze społeczno-politycznym. Drugim najczęściej występującym kierunkiem są teatry kreacji zbiorowej, powstające pod wpływem działalności Grotowskiego (np. Teatr Ósmego Dnia z Poznania). Teatr autorski to — dla przykładu — „Maja" z Poznania. Wreszcie teatry pantomimy (Wrocław i Szczecin). Często jednak teatry przerzucają się z jednego nurtu w drugi.

● 27 zespołów z 19 krajów weźmie udział w październiku w berlińskim Festiwalu Teatru i Muzyki. Polskę będzie reprezentował krakowski Teatr Stary, pokazując w reżyserii Andrzeja Wajdy dwie sztuki: „Noc Listopadową" S. Wyspiańskiego i „Biesy" Camusa według Dostojewskiego.

● Operą Muradelego „Październik" oraz baletem Eszmana „Angara" moskiewski Teatr Wielki rozpoczął 202 sezon. „Październik" będzie główną pozycją w roku 60 rocznicy Wielkiej Rewolucji Październikowej. Teatry dramatyczne zapowiadają około 200 nowych przedstawień dramatów 160 twórców radzieckich.

ZABYTKI

● Warszawski salon numizmatyczny Desy, jedyna tego rodzaju placówka w kraju, przyczynia się poważnie do wzbogacania polskich zbiorów muzealnych — wędruje do nich co roku kilkaset cennych pozycji. Tak np. ostatnio przyniesiono do sprzedaży złotą donatywę 10-dukatową Jana Kazimierza z 1650 roku, wybitą w Gdańsku. Jest to trzeci znany egzemplarz tej monety, znalazł się on w warszawskim Muzeum Narodowym. Niezwykle cenny był też medal pamiątkowy Jana Sobieskiego, wybity z okazji wyprawy wiedeńskiej w 1683 roku. Muzea wzbogaciły się także o wiele cennych monet rzymskich, macedońskich, bizantyjskich i innych.

ekran i widz

„Pocałunki z Hongkongu"

I OTO mamy jeszcze jedną satyrę na filmy szpiegowskie: francuskie „Pocałunki z Hongkongu" w reżyserii Yvana Chiffre'a. Znany kaskader, który przez wiele lat współpracował z Jeanem Marais, realizował w słynnym „Najdłuższym dniu" najbardziej skomplikowane sekwencje kaskaderskie, aktor i tancerz, zadebiutował jako reżyser „zwariowaną" komedią o porwaniu królowej angielskiej Elżbiety II przez zakochanego w niej, niepoczytalnego amerykańskiego milionera.

Do akcji rusza szereg zachodnich wywiadów, rywalizujących ze sobą, a przy okazji zwalczających się nawzajem, mnożą się nieprawdopodobne sytuacje na trasie z Londynu przez Paryż i Madryt aż do Hongkongu. Dla uniknięcia skandalu zaginioną królowę zastępuje czasowo, podstawiona przez wywiad francuski, sprzątaczka-sobowtór, szalony wynalazca wymyśla wciąż nowe rodzaje śmiercionośnych zabawek, mistrzowie karate kładą kilkoma ruchami szeregi przeciwników, trwa nieustanna pogoń przy użyciu samochodów, samolotów, eleganckich pociągów, trup pada gęsto, a sex co i raz dochodzi do głosu. To wszystko odbywa się w dobrym tempie, w kolorze, na szerokim ekranie i aż dziw bierze, że nie pojawia się w odpowiednim momencie postać słynnego agenta 007 angielskiego wywiadu, Jamesa Bonda. Niestety, jak się okazuje, chluba Intelligence Service nie żyje już od trzech lat i w filmie zastępują go czterej młodzi ludzie z wywiadu francuskiego.

Nie po raz pierwszy spotykamy się z satyrą na filmy szpiegowskie, które swoje apogeum osiągnęły swego czasu na Zachodzie w serii kolejnych przygód Jamesa Bonda („Dr No.", „Goldfinger", „Diamonds are forever" i in.), opartych na książkach Iana Fleminga. Filmy „bondowskie" przyniosły sławę i pieniądze odtwórcy głównej roli Seanowi Connery, który zresztą później, wycofawszy się z tego gatunku filmowego, stworzył doskonałe kreacje aktorskie m. in. w westernie „Shalako", czy też w ostatnio wyświetlanym u nas „Powrocie Robin Hooda" w reżyserii Richarda Lestera.

Jednak na początku lat sześćdziesiątych Sean Connery ani myślał jeszcze o porzuceniu postaci supermana, przemyślnego wywiadowcy niestrudzonego w walce z wrogiem i zdobywcy stających wciąż na jego drodze pięknych kobiet. Na zachodzie trwała hossa na filmy szpiegowskie. Produkowano całe serie filmowe z określonym bohaterem i tym samym aktorem. We Francji były to: „OSS 117", „Stanislas", „Coplan", w USA — „Flint", „Napoleon Solo i Illya Kuryakin czyli ludzie z UNCLE", „Adam Chance, człowiek z HARM". Włosi, tak bardzo łatwo podchwytujący najistotniejsze trendy produkcji komercjalnej, rozkręcili działalność na tym polu w przyspieszonym tempie. W połowie 1966 r. wśród 63 filmów wyprodukowanych w Italii, jedną trzecią stanowiły filmy szpiegowskie. Wtedy to zaczęły też powstawać coraz liczniejsze parodie i pastisze „bondów", wykpiwające i ośmieszające ów gatunek, rozbudowujący się do rozmiarów karykaturalnych i sięgający najczęściej dna artystycznego. Nie bez tego zresztą, że film satyryczny mieścił się zarazem w ramach... filmu szpiegowskiego, a więc mógł liczyć na frekwencję, zaś honor reżysera nie był przy tym wystawiany na szwank. Takim filmem był na przykład wyświetlany w połowie lat sześćdziesiątych w Polsce „Tygrys lubi świeże mięso" w reżyserii jednego z pionierów francuskiej „nowej fali", Claude Chabrola.

Potem, kiedy w filmie przyszła moda przede wszystkim na sex, gwałt i przemoc, filmy szpiegowskie i ich parodie zaczęły wyraźnie schodzić na dalszy plan. Czyżby ostatnio następował ich renesans?

„Pocałunki z Hongkongu", utrzymane w konwencji slap-stickowej komedii amerykańskiej, nafaszerowane wprawdzie chwilami aż do przesady pomysłami kaskaderskimi, orbitujące gdzieś pomiędzy niezbyt wybrednym humorem filmów z Flipem i Flapem a zatrącającymi o surrealizm groteskami Braci Marx, byłyby w sumie doskonałą komedią, gdyby chwilami zawarty w nich dowcip nie stawał się płaski i niesmaczny.

Niestety, najgorszym pomysłem okazało się chyba wprowadzenie do akcji kwartetu piosenkarzy i aktorów-komików „Les Charlots", mających niby to zastępować Jamesa Bonda, a w rezultacie — ani specjalnie zabawnych, ani dobrych aktorsko i gubiących się zupełnie w zestawieniu z osobowością Mickey Rooneya (Marty), sławy amerykańskich filmów z lat trzydziestych i czterdziestych. Dla którego choćby tylko warto się jednak na „Pocałunki z Hongkongu" wybrać.

noty i notki

W pięknie odbudowanym lubelskim „Bazarze" sprzedaje się m. in. kawę z ekspresu. Obsługująca ten aparat pani pracuje szybko, ale mogłaby jeszcze szybciej, gdyby nie to, że każdą sprzedaną filiżankę kawy (mała 5,20 zł, duża 10,40 zł) musi zapisywać w sporych rozmiarów księdze. Podobno wymaga tego PIH, aby mógł sprawdzić, ile kaw płynnych zrobiono z kawy w ziarnkach. Oto do czego prowadzi biurokracja! Jestem gotów wskazać PIH-owi kilka sposobów obejścia czy złamania tego przepisu, to znaczy sprzedania większej ilości filiżanek kaw niż wypada z rozliczenia, zainkasowania nadwyżki do własnej kieszeni itd. Rzecz bowiem polega na uczciwości kawiarki — jeżeli nie mamy do niej zaufania na sumę 5,20 zł, to należy ją zmienić i tyle.

W dniu 1 września, kochany Orbis lubelski ogłosił w „Sztandarze Ludu", że w związku z odwołaniem pociągu do Świnoujścia z dniem także 1 września, bilety na miejsca sypialne i kuszetki są nieważne. Proste kpiny z klientów — ze strony Orbisu lub PKP. Bo ludzie, którzy już mieli spakowane bagaże, dowiadują się kilka godzin przed odjazdem, że tego odjazdu nie będzie, a sen w czasie jazdy stał się sennym marzeniem. Zaufali obu instytucjom, więc niech teraz jadą na dachach jakichś innych pociągów!

Wygląda na to, że znakomity zresztą felietonista „Polityki", Michał Radgowski, nie był jeszcze na urlopie, choć jego ulubiony docent W. był — i wskutek tego wykazuje (Radgowski, nie docent W.) wyraźne ślady przemęczenia. W nr 36 pisze bowiem, że mieszkańcy pewnego zalanego wodą mieszkania „Telefonowali ponoć do PIHM-u, ale PIHM jak PIHM..." Tak naprawdę to PIHM przestał istnieć ponad dwa lata temu, a na jego miejsce utworzono IMiGW czyli Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Wprawdzie nazwa też nie jest adekwatna do zakresu czynności, gdyż nie IMiGW gospodaruje wodą w postaci chmur, ale wiatry i temperatura — lecz mniejsza o to.

Lato z radiem, jedna z najlepszych audycji naszego radia, przestało istnieć 31 sierpnia, czyli 22 dni przed końcem lata. Niby to wszyscy, z radiem włącznie, propagujemy przedłużenie letniego sezonu urlopowego na wrzesień, okazuje się jednak, że w praktyce, przynajmniej radiowej, jest to propaganda dla innych. Może i dlatego, że ktoś z radia wejrzał do WEP i pod hasłem „lato" nie znalazł ani słowa, a nie wpadło mu do głowy, aby zerknąć pod „pory roku".

Nie bez zdziwienia dowiedziałem się z felietonu Wiesława Saniewskiego w miesięczniku „Opole" (nr 9), że aktor grający w telewizyjnym filmie otrzymuje nie tylko ustalone honorarium, ale jeszcze i różne dodatki. Np. jeżeli występuje we własnym garniturze — dziesięć procent wartości tego garnituru, za własny zegarek też dziesięć procent, ale za własny krawat już tylko dziewięć procent. Mimo że krawat niszczy się prędzej niż garnitur, ale to już jedna z tajemnic księgowego X muzy.

Pani Eugenia Wybraniec z katowickich „Poglądów" nie traciła czasu podczas tygodniowego pobytu na seminarium muzycznym w Weimarze. Jak wyznała w nr 17, chodziła „na lekcje fortepianu do Rudolfa Kehrera, śpiewu do Kima Berga, Hanne-Lore Kuhse czy Zary Dołuchanowej, skrzypiec do Andre Gertlera, wiolonczeli do Laszlo Mezo, kontrabasu do Ludwiga Streichera i do wielu jeszcze innych znakomitych pedagogów". I miała jeszcze czas na to, aby być codziennie przynajmniej na jednym koncercie. To się nazywa wykorzystanie czasu i dewiz!

Wobec stosowania coraz surowszych kar liczba gwałtów popełnionych w naszym kraju maleje. W woj. poznańskim za zbiorowy gwałt na 16-letniej dziewczynie dwóch młodocianych zostało skazanych każdy na 12 lat więzienia, a jeden na 8, ponadto muszą zapłacić po 50 tys. złotych, gdyż dziewczyna, jak stwierdzili psychiatrzy, „doznała trwałego urazu psychicznego, który przejawia się w zmianach osobowości". Ten drugi wyrok, jakby dodatkowy, zapadł rok po pierwszym.

Warto zwiedzać Roztoczański Park Narodowy, o którym pisaliśmy obszerniej w poprzednim numerze „Kameny". Aby jednak zwiedzać z korzyścią to, co trzeba, warto mieć odpowiedni folder. W magazynach dyrekcji Parku znajduje się około 4 tys. egzemplarzy takiego folderu, natomiast w kiosku PTTK w Lublinie na rogu ulic Krakowskiego Przedmieścia i Lipowej od dłuższego czasu ani jednego. Naturalnie nikt się nie przyznaje, że czegoś tu nie załatwił.

„Nowy rok szkolny w cyfrach" — głosił wielki tytuł w nr 196 „Kuriera Lubelskiego". Coś mi się wydaje, iż w nowym roku szkolnym nauczyciele będą wyjaśniali, iż cyfr jest dziesięć, od 0 do 9, natomiast nowy rok szkolny można charakteryzować tylko w liczbach.

JOD

POCZTA LITERACKA

A. Y. Grabowiec. Niedostatkiem tych wierszy jest, że nie zawierają żadnych starań o możliwie najlepsze ukształtowanie słowa. Pani wystarcza wyznanie. Jest ono szczere i przekonywające, ale wiersy nie pisze się tylko po to, by wyrazić przywiązanie do łąk i kwiatów, choćby jak najnaturalniej uwierzytelnione życiorysem. Jest to poezja, której odrzucić nie można, ale też nie można wydrukować.

M. M. Woźniki. Mogłoby zwrócić uwagę opowiadanie „Chłopcy ze starej wsi", bo „List z urlopu" jest najzupełniej zdawkową narracyjką bez żadnych znamion literackich. Pierwsze ma przynajmniej gwarowy koloryt języka. Ale i to interesuje przez pierwszych kilkanaście zdań, później staje się monotonne. Sęk w tym, że nie potrafi Pan przedstawić żadnej ludzkiej sprawy tak, by czytelnik musiał się poczuć zaatakowany. Powie Pan, że w drugim opowiadaniu tenie chłopiec. Tak, ale przy takich środkach wyrazu można utopić batalion — też bez wrażenia.

G. S. Białystok. Złą funkcję spełnia nazbyt rygorystyczny w Pana wierszach gorset rytmiczny. Nie chodzi mi o regularność strofy. Powiem w cztery oczy, że jestem jej zwolennikiem. Ale odnosi się wrażenie, że Pan z góry ustala sobie rym, puls, tętno wiersza i słowa — nawet te, które nie chcą — muszą się temu przyporządkować. Czy Pana samego nie męczy ta stukanka? Odbieram ją jako mechaniczną, a chciałbym, żeby słowa z natury i z ochoty szły w nogę. Bardzo mnie cieszy, że pisanie sprawia Panu satysfakcję. Tym łatwiej Pan zniesie moją — tego rodzaju każdemu autorowi — niezbyt miłą uwagę.

A. O. Toruń. „Granice paradoksu" przeczytałem z zadowoleniem. Taki rodzaj teatrzyku na papierze rzadko się uprawia, więc tekst zalecił się nowością. Jednak wydaje się, że nie wykorzystał Pan wszystkich możliwości tkwiących w tej formie. Chciałbym go widzieć bardziej zwartym, bardziej celnym i bezpardonowym. Chciałbym więcej satyry obyczajowej, o która pomysł aż się naprasza. W sumie — pikantne, ale o jakiejś paprysce, czy czomku tu się jednak zapomniało. „Taki mały światopogląd" to monolog wewnętrzny obracający scenami wybranymi niestety najdowolniej. Powie Pan, że monologowi wolno. Tak, ale ta wolność musi mieć swoją chytrą wymowę. Swoboda to nie przypadkowość. Więc niezależnie od entuzjazmu dla Salwadora Dali, który podzielam, nie mogę Panu przy tym tekście służyć swoim entuzjazmem czytelnika. Ale broń Boże, proszę się nie obrażać. Analiza postawy hiszpańskiego malarza bardzo mi przypadła do gustu i zawiera naprawdę dużo wnikliwości.

K. P. Rybnik. Rzadkie to życzenie w liście, by nie drukować załączonych wierszy. Oczywiście rozumiem. Autorowi bardziej zależy na czytelniku niż na druku. Bardziej na rozmowie niż na honorarium (za wiersz — skąpym do niemożliwości). Wszystkie są dedykowane jednej osobie płci żeńskiej. Osobiście przestrzegałbym przed tego rodzaju wyrazami hołdu. Kobieta przeczyta tylko dedykację. Autor swoją wypowiedź musi zawęzić tematycznie, by się nadawała pod zamierzony adres. Oczywiście nie wiem jak jest w Pana wypadku. Mówię na podstawie wyznań wielu autorów. Mickiewicz całymi „Dziadami" nie przekonał Maryli.

S. A. Modliborzyce. Sam pomysł jest dobry. Ale że jest dobry, okazuje się dopiero na ostatnich metrach, bo monolog wewnętrzny składający się na treść opowiadania mimo tu i ówdzie zręcznych zwrotów idzie sobie za pan brat z gadulstwem. Poza tym językowo rzecz nie jest uchwycona należycie. Ciągle jakieś „go", „tego", o których czytelnik nie wie, do kogo się odnoszą. Wie dopiero wtedy, kiedy znajduje się przy ostatnich zdaniach, ale co się nadenerwował po drodze — tego mu autor nie odbierze. Bo autor w tym utworze nie jest sojusznikiem czytelnika. Proponowałbym ściślejsze porozumienie.

K. J. F. Gorzów Wielkopolski. Wydaje mi się, że nadmierną metaforyzacją i kondensacją sam Pan wyrządza szkodę swoim wierszom. Jeśli Pan mówi o trawie, która każdego ranka wstawała wcześniej od innych traw, jest to zwrot poetycko czynny i jednoznaczny w odbiorze. Ale jeśli w tym samym wierszu jest mowa o ulicy, po której można chodzić „na bose nogi", brzmi to sztucznie. Od razu się słyszy jako naciągnięte w celu osiągnięcia podobieństwa z pojawiającym się zaraz po tym „na przełaj". Zwięzłość — owszem, ale Pan eliminuje tyle, że czasem zatraca się możność komunikacji.

„Magda z zamojskiego". Niepotrzebnie chowa się Pani za kryptonim, wiersze wcale nie są złe. Z pewnością zawierają jedno: prawdę. Mam na myśli, że wyrastają nie z roboty, nie zastosowania tego, co nazwałbym „literacką technologią", ale z widzenia świata, z refleksji nad rzeczywistością. To jest bardzo przekonywające źródło. Na razie nie ma Pani doświadczenia, widać w tym pierwsze kroki, ale z czasem — mam nadzieję „słyszenie łańcuchu ziemi" ubierze się w słowa bardziej dojrzałe i przekonywające. Ważne, że Pani nie okłamuje siebie, nie tłumaczy dziwaczenia jako rozwoju.

Szyfrogram (nr 19)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment powieści współczesnego pisarza polskiego, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 14 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między słowami, a podwójne — między zdaniami.

Wyrazy pomocnicze

8. 26. 42. 7. 29. 24. 19. 36 — poeta rosyjski, współtwórca manifestu imażystów,
9. 109. 25. 38. 47. 112. 120. 31. 44. 54 — punkt centralny trzęsienia ziemi.
26. 91. 33. 102. 45 — kamień szlachetny i telewizor kolorowy.
28. 58. 52. 63. 69 — filozof z Elei,
29. 1. 95. 5. 10 — połączony promem ze Świnoujściem,
13. 62. 41. 78. 134. 49. 94. 23 — wielka dziedzina gospodarki narodowej,
17. 115. 77. 64. 85. 21 — ubranie konia,
2. 125. 40. 80. 98 — powieść W. Wasilewskiej,
27. 14. 6. 59. 20. 79 — producent żywności,
3. 57. 18. 71. 48 83. 42 — część matematyki,
30. 106. 56. 124. 37. 75. 46. 61. 89 — mędrzec, filozof,
11. 87. 4. 53. 15. 22. 116 — państwo na równiku w Ameryce,
12. 32. 67. 55. 107. 78 — narzędzie krojczego,
35. 118. 110. 108. 84. 60. 90 — absolwent średniej szkoły zawodowej,
111. 70. 123. 100 — postać biblijna od złych wieści,
105. 50. 121. 132. 128 — metal szlachetny,
73. 96. 117. 99. 68 — broń myśliwska,
65. 74. 130. 66. 103 — zakręt,
129. 88. 113. 126 — drzewo liściaste,
81. 114. 131. 104 — wydawanie dźwięków,
101. 133. 92. 97. 34 — ziemia nadana przez seniora,
72. 122. 93. 86 — materiał do ogrzewania,
127. 51. 119. 82 — nienaturalne zachowanie, udawanie.

■	1	2	3	4	5	6	7	■	8	9	10	11	12	■	13
14	■	15	16	17	18	19	20	■	21	22	23	24	25	26	27
28	29	■	30	■	31	32	33	34	35	36	37	38	39	■	■
40	41	42	43	44	■	45	46	47	■	48	49	50	51	■	52
53	■	54	55	56	57	58	59	60	61	■	62	63	64	65	66
67	68	69	70	71	■	■	72	73	74	75	76	77	78	79	■
80	81	82	83	84	85	86	■	87	88	89	90	91	92	93	94
95	96	■	97	98	99	100	101	102	103	104	105	106	107	108	■
109	110	111	112	113	114	■	115	116	117	118	119	■	120	121	122
123	124	125	■	126	■	127	128	129	130	131	132	133	134	■	■

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 17 był fragment opowieści G. Bernarda Shawa „Czarna dziewczyna szuka Boga": „Ten staruch to kiepski wariat, niezdolny już do roboty, jemu potrzeba kogoś do kopania kartofli. Od czasu kiedy on uczył się konać, świat dowiedział się dużo nowych rzeczy o kartoflach".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 17 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Ewa Szubstarska 20-128 Lublin ul. Okrzei 2/94, Aleksandra Stempkowska 22-100 Chełm ul. Wołyńska 16a/9, Urszula Duda 21-136 Firlej ul. Rynek 11, Paweł Zawisza 22-200 Włodawa Aleja Wyzwolenia 36.

listy do kamery

„DYSKUSJA PUBLICZNA BEZ PUBLICZNOŚCI"

W interesującym artykule („Dyskusja publiczna bez publiczności", „Kamena" nr 17) dotyczącym Zamościa, Jerzy Dostatni pisze, że miasto było twierdzą 350 lat, co nie jest zgodne z prawdą. Zamość był twierdzą tylko 248 lat (w okresie od 1618 do 1866 r.). Kilka wierszy niżej przeczytałem w tejże publikacji: „owe 350 lat, gdy twierdza zamojska była jednym z głównych filarów Rzeczypospolitej". Niestety, w służbie Rzeczypospolitej twierdza pozostawała tylko 154 lata (do 1772 r.). Przy okazji chciałbym podzielić się kilkoma innymi uwagami, korespondującymi z problematyką przedstawioną w artykule.

Komunikacja. W obrębie Starego Miasta, obok ulic: Akademickiej i Łukasińskiego, do niezbędnej komunikacji przeznaczono ulicę Kościuszki. Aleanuje ona kosztem ciszy i spokoju do miana arterii i to wcale nie na XX-wieczną miarę. Pomijając już fakt, że najpiękniejszy bodaj kiedyś zakątek miasta przedzielony został bardzo ruchliwą ulicą, warto wskazać, co się tutaj jeszcze planuje. Otóż w przyszłości ten hałaśliwy ciąg komunikacyjny okrążać będzie stojącą tu kolegiatę niemal dokoła. Czy nie lepiej wykorzystać dla ruchu miejsce po torach kolejowych, mijając oczywiście bastion I, zniszczony brutalnie 62 lata temu przy budowie kolei?!

Parkingi. Przyszła Mekka turystyki winna mieć ich jak najwięcej. W planach — naokoło Starego Miasta widnieje kilka parkingów (część znajduje się już w trakcie budowy) ale dlaczego zamiast lokalizacji jeszcze jednego, wykrojono dwa niewielkie w samym centrum, między Rynkiem Solnym i pl. Jaroszewicza oraz przy ul. Kościuszki?!

Fortyfikacje. Uważam, że wystarczy tylko rekonstrukcja ich fragmentu — w Warszawie czy Krakowie również nie odtworzono całości murów obronnych — a to m. i. dlatego, ponieważ poza dobrze zachowanym zarysem bastionów IV, VI, i VII po pozostałych praktycznie nie ma śladu. A gdyby zrekonstruować, bardzo starannie, tylko wschodnią część murów obronnych, ze wszystkimi najbardziej typowymi elementami, tj. bramą, bastionami, nadszańcami, fosą, kurtynami i kazamatami?! Do kapitalnych wartości poznawczych doszedłby istotny walor krajobrazowy. Z odległości kilkuset metrów będzie to wspaniały widok, taki, jaki witał niegdyś każdego zmierzającego do miasta podróżnego.

Mieszkańcy. Ich liczba w obrębie Starego Miasta została określona na 1800 i to w zupełności wystarczy. Część należałoby nawet wyprowadzić powtórnie. Dlaczego? W 1975 roku oddano po renowacji blok V. A jak wygląda on dzisiaj? W podwórzu tynk ze ścian zdarto do samej cegły, nie darowano nawet masywnym bramom przy Bazyliańskiej 16 i 18, które w karygodny sposób pozbawiano dębowych listew. W sąsiednim bloku nie ma mieszkań prywatnych, tu przede wszystkim straszy widmo partactwa. Łuszczące się ściany w klubie MPiK świadczą o różnych sprawach... Muzycy, naukowcy, pisarze zamieszkujący Starówkę — to długa jeszcze utopia. Nie znaczy to, że nie ma ludzi gotowych docenić luksus renesansowego locum z widokiem na Ratusz, nawet z perspektywą osypującego się po kilku miesiącach tynku.

Oświetlenie. Niedyś owa specyficzna, pełną uroku atmosferę zamojskich uliczek znakomicie podkreślała dyskretna iluminacja rewerberowanych i gazowych lamp. Obecnie część odrestaurowanych kamienic oświetlają stylowe latarnie elektryczne. Wieczorem elewacje potuskują nastrojowym, rozpraszanym przez nie blaskiem. Ale już po przeciwnej stronie zmetnie zwisające standardowe lampy uliczne. Jeszcze gorzej przy Bazyliańskiej: tam zainstalowano niedawno przeźroczyste szklane klosze z przeraźliwie jasnymi żarzeniówkami!

Andrzej Kędziora
Zamość

KIEDY II TOM?

W 1974 roku ukazał się I tom „Dziejów Lubelszczyzny" pod red. Tadeusza Mencla. Wydawnictwo stało się przedmiotem interesującej dyskusji redakcyjnej, mimo że brali w niej udział współautorzy tomu czyli ludzie raczej dalecy np. od krytycznego spojrzenia na własne dzieło. Od tamtego momentu upłynęło już nieco czasu, lecz na temat II tomu nic się nie mówi, choć wiadomo, że został on zaplanowany. Ciekaw jestem, czy książka ukaże się jeszcze w tej dekadzie, czy też poślizgiem przejdzie na następne... tysiąclecie.

Edward Molenda
Puławy

ZJEŻDŻAMY NA OBIAD!

20 sierpnia br. stanęłam na postoju taksówek przy domu „Gracji" w Lublinie (ul. Krakowskie Przedmieście), objuczona książkami, które nabyłam w pobliskiej księgarni dla uczniów szkoły podstawowej, w której uczę. Byłam piąta w kolejce, lecz wsiadłam do wozu dopiero po półtorogodzinnym oczekiwaniu! Po prostu żadna z taksówek nie raczyła zatrzymać się na postoju, choć było to w godzinach szczytu komunikacyjnego, między 14.30 a 16.00. Jeden z panów taksówkarzy, którzy w liczbie 12 (!) minęli w tym okresie postój, raczył tylko krzyknąć, że jedzie na obiad. Szlag człowieka trafia na te samowole i bezhołowie taksówkarskie, więc pytam, czy nie lepiej, aby wszystkie taksówki w Lublinie były państwowe?!

Maria Kamińska
Lublin

„PAN DOCENT UDERZYŁ CELNIKA W TWARZ"

Z 17 numeru „Kamenu" dowiedziałem się, że „Pan docent uderzył celnika w twarz", lecz wcale mnie to nie zaskoczyło, jako że dość często wyjeżdżam służbowo zagranicę i widziałem nie takie historie. Ale: czy nie ma siły na ukrócenie tych fatalnych, poniżających dla Polski praktyk jej niektórych obywateli, niestety dość licznych? Wredne kawały na nasz temat produkowano do niedawna w USA, wszystko wskazuje, że ruchło staniemy się „bohaterami" dowcipów redagowanych znacznie bliżej. Nie widzę innego rozwiązania problemu, jak surowe karanie przemytników i tych osobników, którzy w inny sposób kompromitują Polskę zagranicą.

Adam Wijas
Chełm

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:
— do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny,
— do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.—

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH".

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄŻKA—RUCH" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO nr 1531-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 2206. J-4.

Numer łamali: Wiktor Muda i Jerzy Kośmider, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Nr indeksu 30351

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czyt. 2552/1977/19

Dokończenie ze str. 13

goszczy, Poznania, Ostrowa Wielkopolskiego, Łodzi, Katowic i in.

W 1938 r. rozpoczął studia wyższe w krakowskiej Akademii Handlowej, przerwane wojną i okupacją, w czasie której m. in. sprzedawał razem ze swym przyjacielem Edwardem Mancem (wówczas jeszcze „Dinem", a obecnie „Din-Donem" — jednym z wielkich klownów polskiej areny — występującym mimo emerytury w „Cyrku Wielkim") w Warszawie u zbiegu ulic Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej — książki. Owemu niejako przymusowemu bukiniście „Nemo" przydała się wtedy matura handlowa i jeden rok studiów, które podjął po wyzwoleniu, wieńcząc je tytułem magistra ekonomii.

Z iluzją nigdy na dłużej się nie rozstawał. Datująca się od 1927 r. znajomość i przyjaźń z wybitnym iluzjonistą „Ramigani" (vel: Jan Ławrusiewicz), z którym już przed wojną na Rynku w Krakowie odegrał wspólnie zabawną scenę z legendy o mistrzu Twardowskim, zaowocowała po wyzwoleniu w programie pt. „Nemo contra Ramigani — To nie bajki i nie czary — Wieczór czarów". Ten głośny w latach 1947—1953 program najprzedniejszego duetu polskich artystów iluzji — grany także na deskach sceny Teatru Państwowego im. Juliusza Osterwy w Lublinie na początku 1953 r. wspominany jest do chwili obecnej przez tych, którzy mieli szczęście go obejrzeć. Został też uwieczniony na łamach jednego z zeszytów popularnej serii nowel kryminalnych „Ewa wzywa 07...", wydawanej przez „Iskry".

W lutym 1958 r. prasa odnotowała sukces artystyczny „Nemo" jako współautora scenariusza rewii pt. „Nie z tej ziemi" (wespół z Józefem Ponityckim), przedstawianej w katowickim „Teatrze Satyry". Był to także niewątpliwy jego sukces aktorski. W jednej z recenzji m. in. czytamy: „Nad rewią panuje Nemo i jego naprawdę czarodziejskie ręce".

W latach 1958—1971 był „Nemo" konsultantem w zakresie iluzji kilkunastu premier teatralnych. Oczywiście, nie zaniedbywał w tym samym czasie kontaktów — i kontraktów — z niemal wszystkimi w kraju wojewódzkimi przedsiębiorstwami imprez estradowych. Jednak najdłużej — co trwa po dzień dzisiejszy — współpracuje z Agencją Artystyczną „Estrada" w Szczecinie.

Tajemniczy mistrz „Nemo" wychodząc z założenia, iż: „Dobre mniemanie o sobie połowę szczęścia stanowi", uważa — nie bez kozery — że do niego właśnie odnosić się może, jeśli idzie o sztukę iluzji, następująca konstatacja: „Moja specjalność to — wszechstronność". Bo istotnie pracował już: przy stole i na parkiecie a także na arenie, estradzie i scenie, we wspaniałych teatrach i na wolnym powietrzu, we wsiach i metropoliach europejskich (Paryż, Moskwa), przed kamerami telewizji polskiej i amerykańskiej, w kraju (już 43 rok) oraz poza jego granicami (Francja, Bułgaria, Związek Radziecki, Czechosłowacja), wreszcie — na lądzie i na morzu (czarował na polskich transatlantykach — „Batorym" i niedawno również na „Stefanie Batorym"). Stąd nieprzypadkowo zwą go częstokroć „kapitanem Nemo", który

TAJEMNICZY „NEMO"

to pseudonim artystyczny wzięty jest od jego imiennika Verne'a (jak rewelowała w swoim czasie prasa — podobno też polskiego pochodzenia). Repertuar „Nemo" zahacza o wszystkie działy i rodzaje sztuki iluzji.

Od 1975 r. do dziś, w kraju i za granicą, mistrz „Nemo" wykonuje kontaktowy trick iluzjonistyczny z zegarkami, pierścionkami i obrączkami, który zasługuje na opisanie. Kilkoro osób spośród widzów wchodzi na scenę i spełnia życzenie mistrza, wkładając do szklanki swą biżuterię i zegarki. Magiczne zaklęcie (które jest tak bardzo tajemnicze, że „Nemo" wypowiada je tylko w myślach iżby któryś z profanów iluzji nie nauczył się nim posługiwać w niecnych celach) i cenne przedmioty znikają niczym kamfora. Zanim publiczność zdążyła ochłonąć z wrażenia, nad sceną pojawia się szybujący model miniaturowego samolotu (czyż mistrz „Nemo" nie pracuje także w powietrzu?), z którego ku zdumieniu widzów artysta wyjmuje wszystkie „zaginione" przedmioty.

Inny trick można by określić jako najbardziej rozrywkowy — rozrywa bowiem gazetę na wiele części i za moment jawi mu się cała, przy czym czynność tę może powtarzać ad infinitum, „ucząc" rozbawioną coraz to bardziej publiczność zasad robienia tego tricku — z zachowaniem wszelkich reguł nowoczesnej dydaktyki — oraz zaskakując ją niepojętymi dla nie-iluzjonistów efektami.

Jeszcze innych tricków i numerów z wielogodzinnego repertuaru „Nemo" nie będziemy opisywać, ponieważ polegają one m. in. na tym że się opisom wymykają.

W 1959 r. w moskiewskim teatrze plenerowym „Gorki" występ „Nemo" oglądało jednorazowo ok. 10 tys. widzów. Brał on udział w dwóch Światowych Kongresach Iluzjonistów w Wiedniu (w 1958 i 1976 r.). Na tym drugim można było kupić okazałe wydawnictwo albumowe Ch. u. R. Reynolds: „Magic Posters. 100 Jahre Zauber-Plakate" (niemieckie wydanie 1976, Rembrandt Verlag Berlin West;) w którym znajdują się reprodukcje plakatów m. in. trzech polskich mistrzów iluzji — „Horacego Goldina", „Carla Rosiniego" i „Nemo". W krótkim opisie reprodukowanego plakatu „Nemo" (projektu artysty Jana Kurkiewicza z 1960 r.) przeczytać można i takie zdanie: „Najwybitniejsze plakaty ostatnich lat, przede wszystkim dla cyrku, teatru i filmu, pochodzą z Polski". Uczestniczył też „Nemo" w kilku festiwalach nowoczesnej iluzji (Praga, Karlove Vary, Drezno), na których bądź to występował, bądź to — jako uznany autorytet międzynarodowy — pełnił funkcję jurora.

Oto interesujący fragment jego własnej teorii iluzji. Uważa „Nemo" mianowicie, że interpretacja zależy od rodzaju tricku i indywidualności artysty. Ale zależy także bardzo często od dnia, samopoczucia wykonawcy, od reakcji publiczności, od rekwizytów, od sceny, świateł etc., jak również od... przypadku.

Już przed drugą wojną światową był „Nemo" członkiem zarządu „Polzawidu" (czyta: Polskiego Związku Artystów Widowiskowych), a po wojnie włączył się z całą energią do pracy społecznej w ruchu związkowym. W latach 1956—1958 stał na czele Polskiego Klubu Iluzjonistów, który istniał przy Zjednoczonych Przedsiębiorstwach Rozrywkowych w Warszawie. Pierwszy w Polsce Ludowej otrzymał „Nemo" najwyższą „S" — kategorię zawodowego artysty estradowego w zakresie iluzji. W grudniu 1973 r. w Warszawie-Zatrzebiu był jednym z głównych założycieli Krajowej Sekcji Artystów Iluzji przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki, której działalnością od początku „kapitan Nemo" steruje. Za zasługi w pracy artystycznej i związkowej był wielokrotnie wyróżniony nagrodami, a także kilkakrotnie odznaczony.

Jego hobby to przede wszystkim narciarstwo, które do dziś uprawia podczas urlopów nieodmiennie od lat spędzanych w perle polskich Tatr — Zakopanem, i podróże morskie (o podmorskie trudniej gdy się jest w cywilu). Pasjonują go też ciekawe imprezy sportowe, które oglądając najlepiej się relaksuje.

Kocha dobre żarty i przystojne dowcipy, bo po prostu bardzo lubi pośmiać się serdecznie. Jest też w czasie pracy, profesjonalnej zadowolony, kiedy obserwuje uśmiechnięte twarze widzów, a jeszcze bardziej ukontentowany — kiedy „magicznie" owe uśmiechy na ich twarze przywołuje. Ma w tym względzie wcale nieśmieszną teorię. Utrzymuje, że śmiech jest wyzwoleniem z kompleksów, że ponadto śmiech oczyszcza, przywraca odwagę i wiarę. Nie w cuda. W siebie. We własne siły i możliwości. A jak mówi jego ulubiony autor z czasów młodzieńczych — Jules Verne: „Wszystko co człowiek może sobie wyobrazić, inni ludzie będą mogli urzeczywistnić".

Jeszcze pewien dowcip-kalambur. Otóż kiedy pod adresem członka Krajowej Sekcji Artystów Iluzji pada pytanie: „ — Kto jest przewodniczącym tej organizacji?" nierzadko odpowiedź brzmi lakonicznie: „ — Nikt" i jest to prawda, ponieważ „Nemo" w języku łacińskim znaczy „nikt". A zatem „Nemo" to zarazem najskromniejsze nazwisko sceniczne wśród członków KSAI. Taki właśnie jest nasz mistrz iluzji i konferansjer (nb. licencjonowany), Juliusz Konczyński — niby NEMO, a znaczy wiele!

Marek Zdrojewski

Casanova Pamiętniki

rys Krystyna Wojcik

2.